

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 6.50 fen. (za odnośnienie do domu dopłaca się 25 fenig. kwartalnie), z przesyłką pocztową kwartalnie 7.50 fen.

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 2 1/2 mark.; na 1 stronie okładki 1 mark. 50 fenig.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 75 fenig.; na 3-ej stronie okładki 65 fenig. Kronika towarzyska, Nekrologi, Nadesłane po 1 mark. 90 fen. za wiersz. Marginesy: na 1-ej stronie okładki 25 m., przy Nadesłanych 20 m.; na ostatniej stronie okładki 17 m. 50 fenig. i wewnątrz 15 marek.

Artykuły reklamowe 437 marek 50 fenigów za stronę.

Załączniki zwykłe po 25 marek od tysiąca.

Adres Redakcji: WARSZAWA, SZPITALNA 12.

Administracji: Krakowskie - Przedmieście 66.

FILIA W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń

„PROMIEN”, Piotrkowska № 81.

ŚWIAT

Rok XII. № 51 z dnia 22 grudnia 1917.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.

Od Administracji.

Papier zdrożał znacznie Ceny farb drukarskich poszły bardzo w górę. Za roboczną też wydawnictwo musi płacić zwiększone honorarja. Wskutek tych wszystkich okoliczności zmuszeni zostaliśmy podnieść cenę prenumeraty. Dla abonentów miejscowych rocznie marek 26, (za odnośnienie do domu 25 fen. kwartalnie), dla zamiejscowych wraz z przesyłką marek 30. Numer pojedynczy kosztuje 65 fenigów.

Wielkie trudności, z jakimi walczyć musimy w obecnych czasach, zmuszają nas do wczesnego uregulowania nakładu „Świata”. Celem więc uniknięcia przerwy w wysyłaniu pisma, prosimy uprzejmie Szanownych Prenumeratorów o rychłe wnoszenie przedpłaty na rok 1918.

Herbatę, Kawę i Kakao

w zupełności
zastępuje

„KOFFONELLI”

Dostać

można wszędzie

Wystrzegać się

lichych naśladownictw

Wyłączność firmy „HYGIENA”.

Warszawa, Senatorska 32.

10425



Franc. Tow. Ubezpieczeń na życie

„L'URBAINE”

Ugi na wyp. niezł. do pracy

Filia dla Kr. P. Marszałk. 136

9967 Oddział miejski: ulica Moniuszki Nr. 2.

Biuro Kijowskie: Kijów, ulica Kreszczatik Nr. 45.

Wilno, róg Ś-to Jarskiej i Kazańskiej Nr. 9.

KAZIMIERZ TETMAJER

Notatki literackie

Cena 3 marki.

Nakład Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.

Wydawnictwo Tow. Akc.

S. ORGELBRANDA S-ów

Encyklopedia Handlowa

2 tomy

15028

Opr. Mk. 50.

Clemenceau i jego stosunek do sprawy polskiej.

Zgola niespodziewanie objął prezydium gabinetu francuskiego stary tygrys, jak go powszechnie nazywają. 76-letni, nie zmotywniony jednak ani wiekiem, ani długą walką zaczepną, Jerzy Clemenceau. W szeregu mężów politycznych Europy jest to bodaj indywidualność najcharakterystyczniejsza i najwydatniejsza. Niema polityka, któryby był bardziej niepopularnym, a zarazem wpływowszym, mniej fascynującym, a zdolniejszym opaować opinię w chwilach kłopotliwych. Ten doktor medycyny, który nigdy, zdaje się, nie praktykował, ten mer Montmartre'u podczas komuny paryskiej, ten pogromca wszystkich gabinetów i wszystkich kierunków politycznych, ten równie świetny mówca, jak utalentowany publicysta, jest przede wszystkim człowiekiem o niepospolicie bogatej inteligencji, o wysokiej kulturze ducha galijskiego, a nadto niezwykle mocnego charakteru, o żelaznej woli

i spiżowym często uporze. Gdy uwikłano go podczas burliwizmu w oszczerczą intrygę, która rzuciła nań cień fałszywego podejrzenia, że jest na żołdzie Anglii, gdy skutkiem tej kabały utracił mandat poselski, napisał dumnie: „Nie potrzeba mi autoryzacji ludu, bym jego praw bronił”. To było jakby zasadą jego życia. Ani na wiecach ludowych, ani w partyjnej agitacji nie szukał taniego poklasku. Walczył przeciw najpopularniejszym hasłom i najsilniejszym stronnictwom i ludziom. Nie oszczędzał ani swego przyjaciela Gambetty, ani towarzysza broni Waldeck-Rosseau, ani Sadi-Carnota; żadnego z ministrów, żadnego z prezydentów. Gdy mu zarzucono niekonsekwencję, że wciąż uderza w coraz nowe gabinety i coraz nowe prądy, odparł z właściwą sobie stanowczością: „Przeciwnie, przypuszczam szturm do tego samego ciągle gabinetu, do tego samego kierunku, bo nic się jeszcze nie zmieniło!”

Od początku wojny zajął w polityce francuskiej odrębne, zgoła samodzielne stanowisko. Był za wojną, za wojną do końca, do ostatecznego zwycięstwa, lecz potępiał wszystkie dotychczasowe metody prowadzenia wojny. To samo świeżo powtórzył w swojej mowie, którą zainaugurował nowy swój ster rządów. Oświadczył się przeciw „stowarzyszeniu ludów” jako rękojmię pokoju. Wojna, wojna zwycięska ma być lekarstwem na wojnę!

Czy osiągnięciem ten cel swoją metodą? Przypuszczać trzeba, że albo weześniejsz ustąpi, niż wojna się rozegra, albo nie będzie się upierał przy metodzie, bo jest uparty w czynie, ale nie jest doktrynerem. Powiedział kiedyś: Kto dobiega do mety inną drogą, niż sobie wytknął, jest najświeższym zwycięcą, bo samego siebie przezwyciężył.

W chwilach wywczasów politycznych Clemenceau zabawiał się szkicami filozoficzno-krytycznymi, a nawet fragmentami scenicznych utworów. (Jego egzotyczny dramatik grano i na naszej scenie). Lubi czasami zaglądać w głąb psychologii ludzkiej i może tam siebie dostrzeżga. Imponuje mu zawsze wola, siła wielkich emocji, lecz jest przeciwnikiem nadto subtelnych i powikłanych duchowych nastrojów. Chce tworzyć niewzruszone skały, aby niemi pokonywać zapory przeciwnika. Kiedy podczas Dreyfusjady stanął wraz z Zolą przeciw hydrze reakcji nacjonalistycznej, czasami rozchodził się w sposobach walkę ze sprzymierzeńcem i przeciwstawiał jego wzniosłemu patosowi brutalne cięcia. Jest zwolennikiem linii najmniejszego wysiłku. Gdzie nie może rozwiązać węzła, chce go przeciąć.

W duchu tej psychologii będzie próbował spotęgować opór Francji aż do granic największych możliwości. Tych granic jednak nie przekroczy.

Interesujące dla nas jest stanowisko Clemenceau w sprawie polskiej. Należał do tych niewielu polityków francuskich, którzy mieli dla nas sympatje i którym „Alliance franco-russe” nie przesłoniła wyraźnych horyzontów. „Alliance” nigdy go nie porywała. W czasie swego długiego ministerjum w latach 1907—1909 kultywował ten stosunek z chłodnym wyrachowaniem — bez entuzjazmu. Wytykał wówczas drogę przyjaźni francusko-angielskiej, którą zawsze uznawał za przyszłą podstawę kulturalnego przewrotu w po-

lityce międzynarodowej. W despotyzmie caratu nad Polską widział próbę nieprawości alianta z musu, którego złuzować chciał aliantem z wyboru.

Na trzeci dzień po upadku swego gabinetu w r. 1909 przybył do Karlsbadu i jakkolwiek unikał dłuższych rozmów politycznych, wszedł w kontakt z małym kółkiem towarzyskiem, które grupowało się około Brandesa, wieloletniego jego przyjaciela. (Ta przyjaźń zerwała się na początku wojny, w czasie której nastroje Brandesa odsunęły odeń wielu jego sympatyków). Brandes, jako dawny znawca stosunków polskich, wysunął będąca wówczas na porządku dziennym sprawę neo-słowiańską. Clemenceau informował się bardzo uważnie i rzucił taki mniej więcej aforyzm:

— Narody nie mogą się jednoczyć koło idei ras niedocywilizowanych. Pokrzywdzona Polska musi stawiać swój problemat na gruncie zasady sprawiedliwości i kultury. Ze zwycięstwem demokracji nowoczesnej sprawa polska odżyje.

Pamięci poległych w 1863 r. w Czarnym Boże.



Z inicjatywy patronatu drużyny harcerek im. Ks. Józefa Poniatowskiego, oraz przy pomocy drużyny żeńskiej im. Emilji Plate-rowny, ustawiony został Krzyż, poświęcony pamięci poległych w 63 roku. W uroczystości tej uczestniczył, komendant harcerstwa w Król. Polskiem Ks. Mauersberger (2) Poświęcenia dokonał proboszcz kościoła farnego w Zyrardowie, ks. kanonik Taczanowski (3). Prezesem drużyny harcerek w Czarnym Boże jest p. Henryk Chrupek (1).
Fot. Maryan Fuks.

Pamiętam potem jeden z artykułów w „Humanité”, w którym Clemenceau, wprawdzie ubocznie, lecz dość głęboko ujął sprawę polską. Poruszył kwestję Chełmszczyzny i analogiczne zagadnienie z inną naszą dzielnicą. Wywodził, że cierpienie narodów wzmacnia ich siły i krystalizuje je w ogniu walki, wszelkie zaś barbarzyństwo, chcąc zniszczyć prawo, gotuje jego zwycięstwo.

Ale Clemenceau ma jedną wadę. Jest zapamiętały i mściwy. Gdy na początku wojny Francja sprzęgła swą dola z Rosją, począł Rosję gloryfikować i wysławiać „wielkoduszny manifest” w. ks. Mikołaja na rzecz Polaków. Kiedy dowiedział się o czynie legionowym i o orientacji niepodległych żywiołów w Polsce, napisał w „L'homme enchainé” piorunujący artykuł o zdradzie Polaków, wzywając ich, by padli „na kolana” i przebiegali entente. Coprawda, Clemenceau pozostawał wówczas pod wpływem pewnych inspiracji... polskich.

Od tej chwili Clemenceau z pewnością zmienił postawę. Rosja zgotowała mu więcej niespodzianek, niż sam mógł przewidywać wtedy, gdy miał do niej tak mało zaufania. Clemenceau umie patrzeć trzeźwo, skoro okoliczności odslaniają mu zaciemnioną uprzednio rzeczywistość. On to przecież kiedyś powiedział:

— Siła prawdy jest tak mocna, że słabi nigdy nie zdołają jej ocenić, silni zaś muszą się przed nią korzyć i zmywać popelnione względem niej winy.

Jeszcze jeden rys charakterystyczny z psychologii Clemenceau. Ma on potężny kult dla geniuszu każdego cywilizowanego narodu. Wielbi narodowość w jej najszlachetniejszych przejawach. Nienawidzi wielu Francuzów, którzy sprzeniewierzyli się wielkiej misji demokratycznej swego narodu, lecz ubóstwia Francję jako nosicielkę ideałów narodowych. Dlatego uznaje wzniosłe postulaty socjalizmu, lecz jest przeciwnikiem takiej doktryny, która wyjawia patriotyzm z jego twórczych pierwiastków. (Czasami zresztą przez zaciekłość brutalnie walczył z prawami robotniczymi). W Polakach wysoko cenił ich żar patriotyczny, ale miał wadę każdego Francuza, który nadto ryczałtowo ujmuje dążność obcych narodów. Ta wojna jest jednak wielką mistrzynią życia, a Clemenceau umie być pojętym uczniem.

St. A. Kempner.





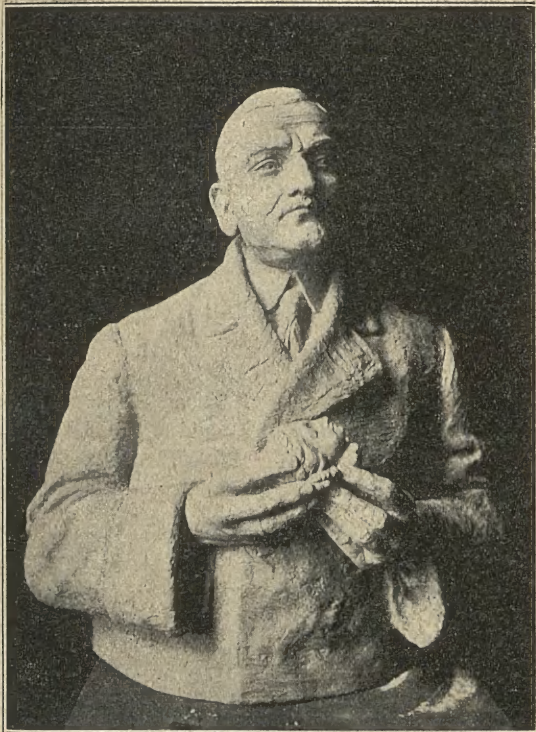
Fot. St. Mastowski.

St. Zawadzki. „Portret bar. Ugrona“.

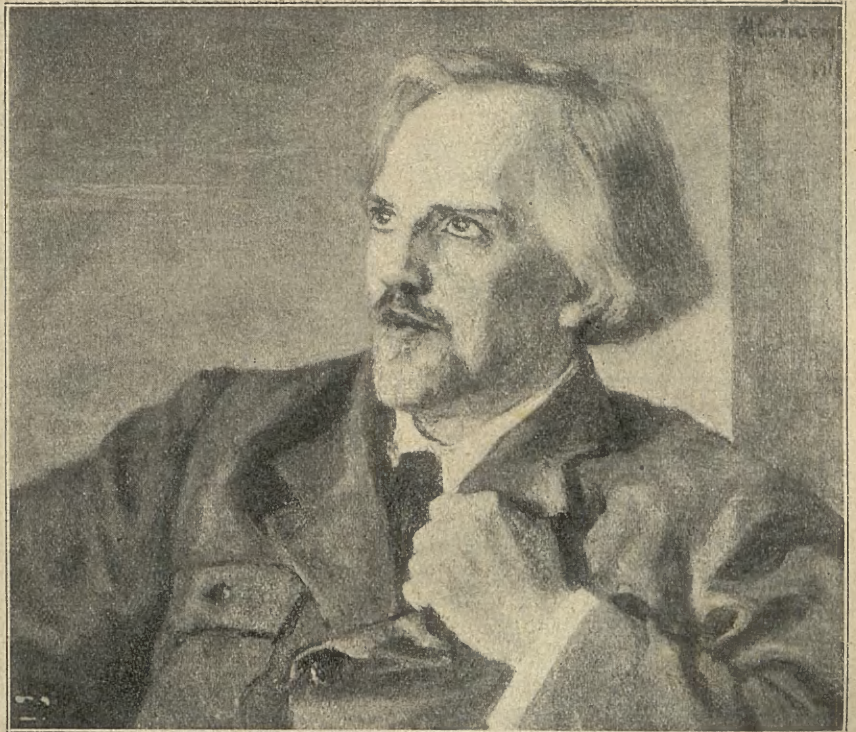


Fot. St. Mastowski.

R. Kramsztyk „Portret p. J. Ł.“



Artur Janik. „Portret p. C. G.“



Fot. St. Mastowski.

Marja Koźniewska. „Portret poety J. Jankowskiego.“

JAK SIĘ KTO BAWI NA PREMJERZE?

Karykatury Jerzego Szwejcera.

Premjery teatralne posiadają tradycję. A niema nic lepiej brzmiącego, jak wyraz: tradycja. Ci, którzy ją mają, chętną się o nią. Ci, którzy jej nie posiadają, starają się o nią gwałtownie, lub przynajmniej udają, że są ludźmi z tradycją.



Konrad Olchowicz.

Otóż premjery teatralne tradycję posiadają.

Więc i na premjery chodzi się dla tradycji.



Adam Zagórski.

Chodzi się także dla zabawy, ale pojęcie zabawy jest względne. Jedni bawią się wtedy, kiedy się śmieją—i to jest najracjonalniejszy sposób zabawy. Inni ba-



Jan Adolf Hertz.



Adam Dobrowolski.

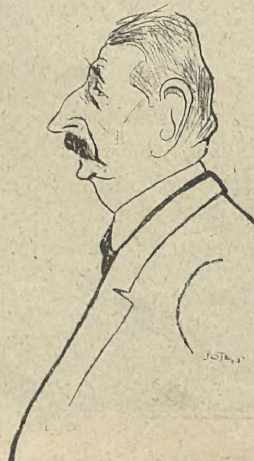
wią się, gdy na scenie rozgrywa się wstrząsający do łez dramat. Inni znowu bawią się na sztukach tragikomicznych, kiedy za własne pieniądze wolno im śmiać się i płakać naprzemian — co jest dowodem wybitnej wrażliwości. Ludzie świadomi wartości i tradycji premjery bawią się podczas antraktów jeszcze lepiej, niż podczas samego widowiska. Bo o ile sztuki zawodzą, to — antrakty nigdy.



Jan Lorentowicz.

Na premjerach z angielskiego, hiszpańskiego i włoskiego publiczność zawsze utrzymuje, że sztuka jest wyborna, i bawi się doskonale.

O premjerach z francuskiego wyraża się mniej entuzjastycznie... ale co za doskonała gra!



Adam Bréza.

Premjery rodzime, a zwłaszcza premjery młodych autorów, są problemem znacznie zawilszym, którego publiczność sama nie ma odwagi rozwiązać. Wtedy oczy wszystkich zwrócone są na prokuratorów-krytyków.



Czesław Jankowski.

Rzecz oczywista, że najlepiej na premjerach bawią się krytycy. Bawią się całym kosztem, a wszelkie koszty premjer nietylko są im zwrócone, ale możnaby rzec, że żyliby z premjer, gdyby to nie była Warszawa, gdzie się umiera z literatury, lecz żyć z niej niepodobna.

Na premjerze młodego, rodzimego autora bawią się krytycy doskonale. Ale każdy bawi się inaczej. Wystarczy spojrzeć na ich wyraz twarzy, ażeby się przekonać, że każdy z nich bawi się inaczej.



Leon Chrzanowski.

Podczas antraktów bliżej krytyków siedzący mają szczęście uchwycić jakiś urywek zdania, decydujący o losach młodego autora.

Zawsze miły, życzliwy i serdeczny krytyk mówi:

— Znałem babcię autora, była bardzo miłą osobą. Wnuk odziedziczył po niej taki i dobre ułożenie. Sztuka jest młoda, posiada szczerzy sentyment, naszą nutę...

Najpoważniejszy i najgroźniejszy z krytyków życzliwie wyraża się o premjerze:

— Założenie jest bezsensowne, przeprowadzenie tezy nie wytrzyma krytyki, wszystko dzieje się po omacku, autor

zamierzał dać dramat narodowy, a stworzył niesmaczną farsę mieszczańską. Styl fatalny. Pozatym sztuka obfituje w ciekawe momenty i wroży młodemu autorowi przyszłość.

Mniej wykwinął niżeli sympatyczny krytyk odzywa się po drugim akcie.

— Fakt, że autor z taką gorliwością sztukę wystawił, jest dostatecznym dowodem braku jakiegokolwiek wartości dzisiejszej premiery.

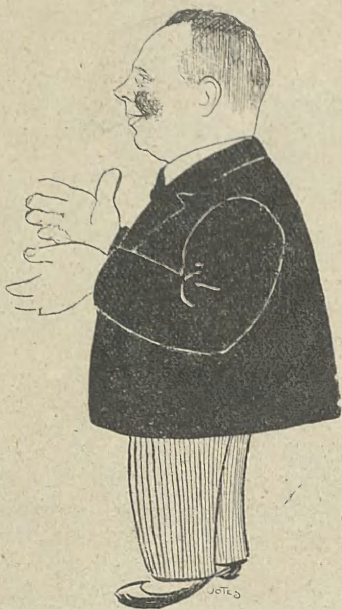
styczeń — piątkę rzymską. Dekorator — piątkę.

Krytyk, autor, redaktor — w jednej osobie, o którym i któremu nie wolno mówić złośliwości, rzecze:

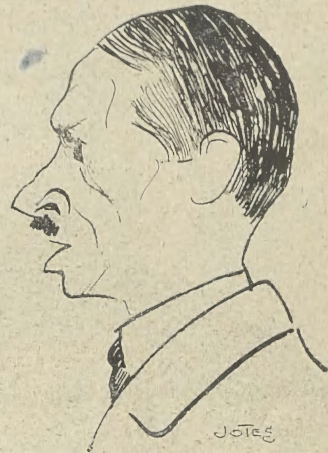
— W tej obsadzie sztuce należy wróżyć powodzenie.



Stefan Krzywoszewski.



K. Olchowicz (Jun.).



Bolesław Gorczyński.

— Skandal! Kto to widział już w drugim akcie robić sceny z wystrzałem z rewolweru. To się robi na zakończenie sztuki. Ale żeby mi stąd mi zowad obudzić mnie w drugim akcie. Autor nie ma talentu.

Z zawodu złośliwy krytyk uśmiecha się:

Młody serio i sprawiedliwy krytyk mówi:

— Sztuka jest bezsprzecznie dobra. Autorowi stawiam — czwórkę. Reżyser dostanie czwórkę plus. Amanitka — piątkę minus. Amant — trójkę. Charaktery-

Na premierze młodego autora znajduje się zawsze cały szereg autorów, których premiery mają także obejrzeć światło kinkietów.

Ci głośnym oklaskiem dają dowód solidarności w tak ciężkiej i tak mało zabawnej dla autora chwili.

H. Jel.

Legiony w polu na froncie wschodnim.



Msza św. na cmentarzu w Rarańczu pod krzyżem pamiątkowym Rokitny.

Z rozkazu władz wojskowych 2 Brygada piechoty W. P. odeszła przed kilku tygodniami w pole na wschodni front.

Znalazszy się opodal dawnych swych pobojowisk na pograniczu bessarabskim i swych smentarzy w dniach zadusznych, przysłała brygada pod wodzą ppłk. Żymierskiego delegację oficerów i żołnierzy na cmentarz w Rarańczu, gdzie spoczywają polegli w bohaterkiej szarży pod Rokitną i w zwyciężkich walkach Karpackiej Brygady w czerwcu i lipcu 1915 r.

Pod krzyżem, wzniesionym na pamiątkę szarży pod Rokitną, tuż obok grobu rotmistrza Wąsowicza odprawiono mszę św. i złożono od wszystkich oddziałów wieńce na grobach, których znajduje się tam ogółem 61.

Oddziały 2 Brygady, stojące w polu, prócz zwyczajnej służby odbywają ćwiczenia w najnowszych metodach walki frontowej, siornowano oddziały szturmowe, rozpoczęto kilka kursów oficerskich.



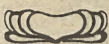
Ćwiczenia oficerskie w patrolowaniu pod komendą brygadiera (x) Hallera.



Odpoczynek w czasie ćwiczeń.



Odpoczynek w czasie ćwiczeń.



Rozjem broni na froncie rosyjskim.

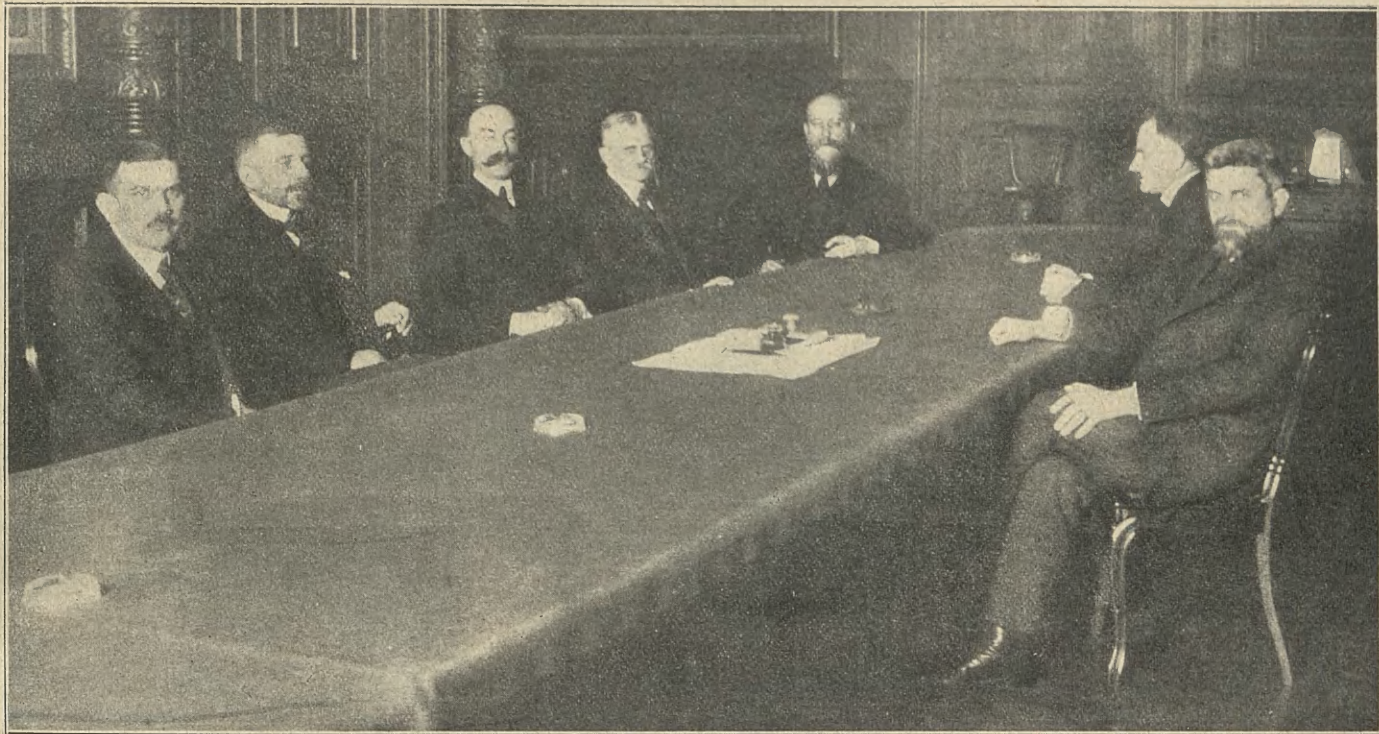


Pierwsza wymiana zdań o mającym nastąpić rozejmie na froncie rosyjsko-austrjackim.

Turcja w zawierusze wojennej.

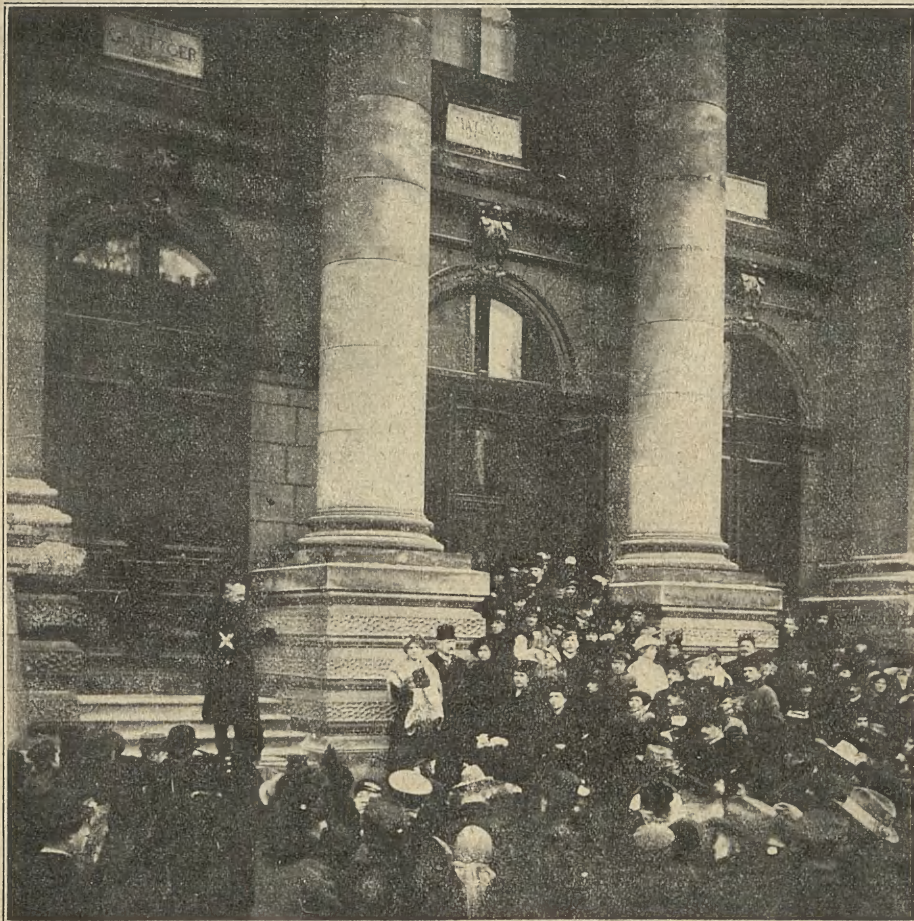


Na targu tygodniowym w Aleppo.



Przy stole (od strony lewej do prawej) siedzą ministrowie: Stefan Przanowski (aprowizacja), Stanisław Bukowiecki (sprawiedliwość), Jan Kucharzewski (prezydent ministrów), Jan Zagłeniczny (przemysł i handel), Jan Stecki (sprawy wewnętrzne), Antoni Ponikowski (oświata), Józef Mikułowski-Pomorski (rolnictwo i dobra państwowe).
(Specjalne zdjęcie dla „Świata” Fot. Maryan Fuks).

Jubileusz Grottgrowski w Warszawie d. 13 b. m.



Przy odsłoniętej tablicy Grottgrowskiej przemawia prezes Tow. Zachęty Sztuk pięknych p. Fr. Eismond (x).
Fot. Maryan Fuks.

Jak się żywi inteligencja?

Przeszło dwieście tysięcy osób w naszej miłej stolicy żywi się obiadami, które w całej masie kuchen gotuje im Magistrat.

Jest to pomoc olbrzymia, dana biedzie w pierwszym rzędzie.

A w drugim — inteligencji.

Albowiem należy to powiedzieć głośno, że ta pomoc idzie dość bystrym korytem, którym płynie zupa (niestety, nie zawsze dostatecznie okraszona), ku zapomoczeniu tych, co najdotkliwiej pod kryzysem jęcza.

Do lepszego przywykli.

I nie mają praktycznej obrotności, o którą łatwiej ludziom, mniej w naukach i kunsztach wyspecjalizowanym.

— Ratować inteligencję!

Dość wczesnie to hasło było rzucone. Pierwszy raz padło ono z ciepłych murów naszego starożytnego już i zasłużonego, a tak obecnie, niestety, zaniedbywanego Towarzystwa Dobroczynności. Ono to, chwyciwszy parę setek tysięcy rubli z wojennych indemnizacji, poratowało istotnie a delikatnie i rozumnie tysiące nauczycieli, urzędników, literatów i artystów.

Kuchnie dla inteligencji, w których dają za skromną cenę dwa dania, prowadzą dalej to dzieło.

Dzieło, przez które naszym władzom miejskim, tak srodze jednak nieporadliwym i z tak niesłychanym trudem zdobywającym sobie okruszyny doświadczenia, niejedno powinno być dopuszczone.

Co jednak jada nasza inteligencja, zmuszona korzystać z łask magistrackich?

Jarzyny i mięso.

Najskromniejszy obiad „dwudaniowy“ posiada, jako menu: talerz zupy i talerz, okryty dwoma zwykle różnymi jarzynami. Parę razy w tygodniu w tych jarzynach tkwi, niby kawałek klejnotu, zrazik mięsa.

Magistrat dostaje od monopolu mięsnego sto tysięcy kilogramów żywego bydła. Po cenach nader rozsądnych, z góry tak uregulowanych, że i hodowca i pośrednik posiada uczciwy zysk ze swej pracy, wyłączający wszelkie nadużycie.

Z tych stu tysięcy kilogramów żywej wagi daje się, przy dobrej gospodarce rzeźnianej, wydobyć do 55 tysięcy kłgr. czystego mięsa.

Jeżeli z tego coś nie coś idzie mniej więcej regularnie do prywatnych składów rzeźniczych, do restauracji i wogóle, poza pożywienie biedy i inteligencji, jest już nadużycie.

Zresztą restauracje, hotele i pensjonaty żywią się także i zrczenie a na dużą skalę praktykowanym szmuglem.

Kuchnia biedoty zawsze była mało urozmaiconą.

Kuchnia dla inteligencji stała się obecnie rozpaczliwie jednostajna.

Ależ to przecież — prowizorium.

Tysiące ludzi szepce sobie codziennie:

— Byle przeżyć...

— Byle przetrzymać...

I jest dość prawdopodobnem, że gdyby całą mechanikę pomocy publicznej, jaką dają miejskie, dobroczynne i korporacyjne organy, oświetlić należycie i słusznie ją uwartościować, to byśmy na tym egzaminie solidarności społecznej nie otrzymali najgorszego już stopnia.

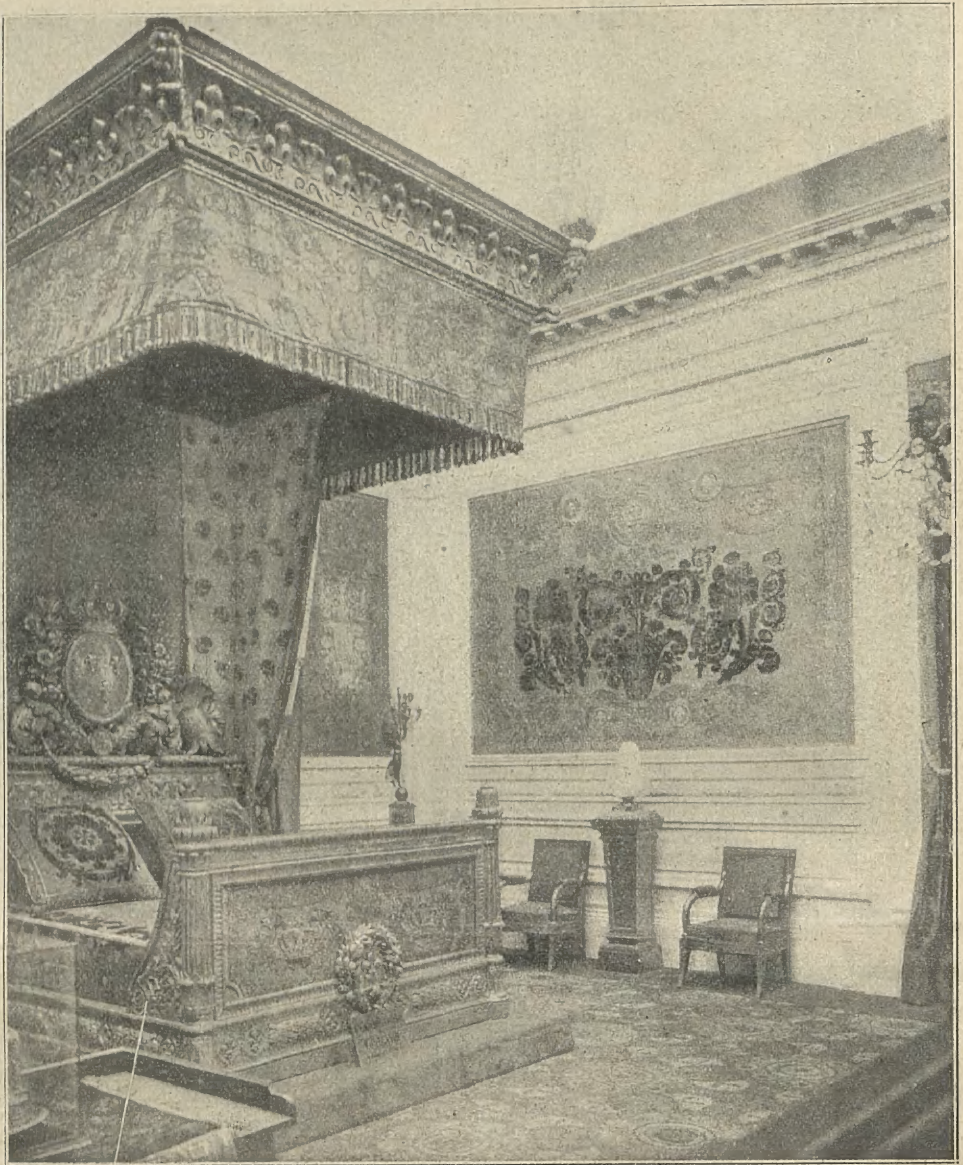
Zwłaszcza, jeżeli weźmiemy pod uwagę, żeśmy siłami i środkami zupełnie jeszcze nie złożonego Państwa Polskiego niczego w tym kierunku dokonać nie zdołali.

Wydaje się wam może podejrzanym nieco mój przednoworoczny optymizm? Jest on przecież tylko dorzuceniem jednego tonu do innych, które ustawicznie drapają nasze uszy. Ten lepszy ton jest zgłuszony. Prawie że go nie słysząc. Ostre świsty oskarżeń ciągle przecinają powietrze. Gdzie się obrócić, słyszy się o drapieźności ludzi złej woli i o niedołęstwie ludzi woli dobrej.

Rozdenerwowało nas to już mocno. I na jakis, zasadniczo wrogim tonem nastroiło duszę naszą. Nigdy może w historii, a z pewnością nigdy za naszej pamięci tyle nienawiści wzajemnych nie namagazyowało się, co obecnie. I niespokojnymi oczami szukamy ustawicznie tych winnych, na których by można wywrzeć jakiś akt represji, — za nasze rozdrażnienie samo.

Dusza nasza potrzebuje pewnych terapeutycznych zabiegów. Stajemy się bowiem zanadto już sami sobie — wilkami.

Demil.



Pokój sypialny w Tuillerjach, odtworzony przez ljońskie fabryki jedwabiu.

Fabryki ljońskie jedwabiu artystycznych zostały zamienione na warsztaty wojenne. Narzędzia delikatne, przy pomocy których tkano arcydzieła tkackiego kunsztu, obecnie wyrabiają różne precyzyjne drobniarki, niezbędne dla takich nowożytnych sposobów ulepszonej śmierci, jak aeroplany, łodzie podwodne i dalekonośne działa. Jednym z ostatnich arcydzieł ljońskiej wytwórczości, póki była ona normalną, było odtworzenie pokoju sypialnego Ludwika XVIII w Tuilleries, który został nieco uszkodzony przez rewolucję roku 1830, a doszczętnie zginął przy pożarze pałacu, spalonego przez barbarzyńską komunę 1871 r.

Ludwik osiemnasty miał upodobania raczej proste. Przekładał wygodę nad przepych, swobodę nad zbytek. Długi pobyt w Anglii przyzwyczaił go do komfortu, który jest czemś innym, a nawet czemś przeciwnym pod pewnym względem, aniżeli wersalski styl. Oglądamy dziś Wersalski pałac z podziwem, bo

widzimy w nim jedynie muzeum. Ale uchodzi naszej uwagi ta okoliczność, że te wspaniałe komnaty i kurytarze, ozdobione przez Boucherów i Riesingerów, nie posiadały wcale miejsc ustępowych. Restauracja wprowadziła do królewskiej sypialni nowy styl. Mieszkanie króla, który postępował tak, jakby rewolucji i cesarstwa wcale nie było, było już syntezą francuskiego wykwinu artystycznego z praktycznością angielską. Sypialnia jego zresztą nietylko nie ustępowała słynnej sypialni Ludwika XVI, którą do dnia dzisiejszego pokazują w Wersalu zwiedzającym, ale przewyższa ją jeszcze delikatnością i smakiem użytych tkanin. Co Ljon zdołał wytworzyć najbardziej eleganckiego, to tu zgromadzono i sharmizowano. Francuski smak nie święcił większego tryumfu. Nasza rycina nie może oddać tego w pełni: brakuje jej kolorów i odcieni. Daje przecież wierną architekturę tego arcydzieła z jej wględną prostotą linii.

Nasza nowa powieść „HRABIA EMIL”.

Zofja Rygier-Nałkowska zdobyła już sobie poczytność i uznanie wśród miłośników rzeźbionego słowa polskiego. Jej „Równieśnice“, „Węże i Róże“ były



Zofja R. Nałkowska.

bardzo czytane i żywo komentowane. Tajemnice duszy kobiecej znalazły w Nałkowskiej spowiedniczkę wrażliwą, dystyngowaną. Umiała ona wydobyc z nurtujących głębin przyływu młodej energii emancypacyjnej, widziała jednak i śmieszne strony tych poczynań. Interesowały też żywo Nałkowską współczesne zagadnienia socjalne. Nie oddawała im

jednak w ofierze sztuki swojej, ale za to potrafiła wydostać z tego środowiska kilka plastycznych typów ludzkich, z bogacającą galerię naszej literatury.

Na rok 1918 zdobyliśmy dla naszego dodatku beletrystycznego nową powieść tej autorki. O powieści swojej mówi p. Zofja Rygier-Nałkowska:

— Tematem nowej mojej powieści jest miłość i wojna. Aktualności się nie obawiam — podobnie, jak mój bohater nie obawia się banalności. Niebezpieczeństwem dla książki jest nie temat, tylko stosunek autora do tematu — czyli forma. Otóż pod względem formy ta powieść moja jest bardzo różna od poprzednich. Po raz pierwszy też za bohatera romansu obrałam mężczyznę.

— Jakież środowisko maluje pani w tej swojej nowej powieści?

— Środowisko jest poczęści arystokratyczne, poczęści wojskowe. Nie przywiązywałam szczególnej wagi do charakterystyki samych tych środowisk. Bardziej bowiem zajmują mię

różnice między ludźmi jednej sfery, niżeli podobieństwa i cechy wspólne.

— A tytuł? Czy pani długo pracowała nad tą powieścią?

— „Hrabiego Emila“ pisałam prawie od początku wojny — jednocześnie jednak z nowelami, które złożyły się na tom „Tajemnice krwi“, i „Charakterami“, drukowanymi w „Świecie“. Wyłącznie zaś poświęciłam czas tej powieści w ciągu ostatniego lata, będąc na wsi.

— Czy pani jest zadowolona ze stosunku krytyki do pani twórczości?

— Co do krytyk, to, jak większość autorów, nie odnoszę się do nich obojętnie. Robią mi one przyjemność, gdy są korzystne, i przykreść, gdy są ujemne. Krytyki interesują mnie, jak wszystko, przez co wyraża się stosunek świata do mnie i mój do świata. Było między niemi kilka, które sprawiły mi radość głęboką i pamiętną: znalazłam w nich jakby pokwitowanie z odbioru listu, wysłanego na niepewne, pod niewiadomym adresem.

F.



Popis śpiewu, gimnastyki i gier ruchowych, ochron, zostających pod opieką Miejscowej Rady Opiekuńczej w Łodzi.



Ćwiczenia chłopców.



Ćwiczenia dziewcząt.

Praca oświatowo-kulturalna wre w Łodzi. Jako dowód żywotności, niech posłuży za fakt, że już w Parku Ponia-towskiego odbył się pierwszy popis dzia-twy z miejscowych ochron, w którym wzięły udział 24 ochrony przy ilości 2,000 dzieci pod przewodnictwem swych opie-kunów i ochraniarek. Przed grono za-proszonych sędziów i osób kompetent-nych wysuwały się kolejno grupy dzieci ze swemi ciekawymi i różnorodnymi pro-dukcjami. Pomimo iż program nie był narzucony i instytucjom pozostawiono

zupelną swobodę, ani jedna piosenka, ani gra, ani też produkcja gimnastyczna nie były powtórzone. Niezwykle zaintereso-wanie wzbudziła dziatwa nasza wśród licznie zgromadzonych widzów.

Sekoja pedagogiczno-wychowawcza M. R. O. urządzająca popis, cel swój osiągnęła w zupełności, gdyż zarządy in-stitucji i personel nauczycieli-wychowawców przez porównanie mogły wycią-gnąć wnioski postępowania na bieżący rok szkolny.

Ściśle z popisem łączy się wystawa

„Dziecko“ i uzupełniające Kursy dla 206 ochraniarek.

Wystawa mieściła się w gmachu To-warzystwa Akc. „Siemsa“.

Odczyty wygłosili d-rzy Mikulski, Rosiewicz i Maybaum. Prof. Piaskowski mówił o rysunku w ochronach, a p. Cisz-kiewicz, ogrodnik miejski m. Łodzi, o ro-slinach lekarskich. Inż. Daszewski doko-nał licznych zdjęć fotograficznych, z któ-rych kilka podajemy.



„Kaligula“ w Teatrze Polskim.

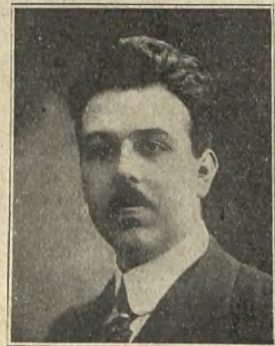
Wystawienie pięknego dramatu Rostworowskiego w Warszawie jest potrójnym tryumfem Solskiego: jako dyrektora, jako reżysera i jako artysty. Jako dyrektor okazał, czego może dokonać energia i sprężystość w ciągu paru tygodni. Młodą drużynę zagrzał duchem zapалу i wiary, pozyskał parę nowych sił, stworzył zespół, który rokuje najoddatniejszą nadzieję na przyszłość, — tworzy repertuar, który wyróżnia się wysokością poziomu i aspiracji. Jako reżyser, wy dobył z tego świeżo zgromadzonego zespołu maximum sprawności, osiągnął całość, jakiej zazdrościć może najzasobniej uposażona scena. Opowiadano, że inscenizacja warszawska „Kaliguli“ stoi wyżej od krakowskiej. Sceny zbiorowe, bardzo trudne i skomplikowane w efektach, wypadły niezwykle barwnie, zadziwiały pełnią i różnorodnością ruchu. Wreszcie jako artysta, Solski dał kreację degenerata, w którym jednak pozostały instynkty i uczucia ludzkie, ujętą głęboko, od pierwszej chwili wysoce interesującą, konsekwentną.

Z pomocą Solskiemu przyszedł artysta malarz, Karol Frycz. Dekoracje i kostjumy zachwycały malowniczością, dobrym smakiem, znajomością epoki. Trzeba pamiętać, w jakich warunkach dziś wystawia się sztuki. Frycz umie zapanować nad trudnościami, potrafi operować skutecznie najskromniejszymi środkami. I tym razem dowiódł, że teatry polskie posiadają w nim siłę zgola pierwszorzędna.

Pod umiejętnym i energicznym kierownictwem Solskiego, zespół Teatru Polskiego idzie ku lepszej przyszłości siedmiomilowemi butami. Prócz tych artystów, z Gasińskim na czele, których poznaliśmy już na poprzednich przedstawieniach, teraz pojawili się p. Renardówna, pp. Biegański i Mierzejewski. Ten ostatni odznacza się wysoce korzystnymi warunkami. Wymienić należy jeszcze p. Korczakowa, której skupiona gra zasługuje na wyróżnienie.

Kursy o Polsce w Genewie.

Znany przyjaciel Polski, prof. Edmund Privat, docent uniwersytetu genewskiego, ogłosił na kursach szkoły Vineta w Genewie wykłady p. t. „Europa i Polska“.



Prof. Edmund Privat.

Wykłady te obejmować będą historję stosunku Europy do sprawy polskiej od czasów Napoleona do chwili bieżącej. Jak wiadomo, prof. Privat roku ubiegłego bawił w Warszawie. Był też podczas okupacji rosyjskiej. Z racji tej ostatniej punk-



Na drugiej naszej scenie, która dzięki artystycznemu kierownictwu p. Grzymały Siedleckiego i reżyserji p. Ludwika Czarnowskiego rozwija się coraz pomyślniej, wystawiona została ostatnio 3-aktowa sztuka A. Bissona i Beer de Turique'a (St. Jaroszyński) p. t. „Pawie piórka“. Lekka ta komedia oryginalnością swego tematu, przeprowadzonego z igrasie francuska finezją, również jak doskonałą grą całego zespołu, zdobyła sobie szczerze uznanie. Niniejsza fotografia podaje podobizny wybornej czwórki artystów: pani Billńskiej, pp. Czarnowskiego, Kucharskiego i Topolskiego.

Z życia prowincji.



W dniu 1 grudnia r. b. odbył się w Łomży staraniem pań obchód ku uczczeniu Powstania Listopadowego. Pod kierunkiem p. Jana Czochońskiego odegrano: „Warszawiankę“ St. Wyspiańskiego. Współudział przyjęli pp.: Chłoniccki, I. Czochoński, Marja, F. Suchorzewska, Anna, H. Mikułowska, pani domu, M. Zajączkowska, Skrzynecki, Znoliński, Pac, W. Mazurek, Małachowski, Selerowski, Literat, M. Pawelski, Wiarus, E. Zajączkowski, oficer, M. Czarnecki, generalicja, M. Danielewski, Grygorczyk, Schmit, W. Kuc, S. Bobiński. Dochód przeznaczono na cele dobroczynne, a ewentualnie dla Szczypiorniaków.

ty jego wykładów zawierają tego rodzaju rozdziały, jak „Polska a wojna obecna“, „Wrażenia z podróży do Polski“, „Przepowiednie cara“, „Niemiecka taktyka“, oraz „Rewolucja rosyjska i jej konsekwencje“.

Ogłoszenie przez prof. Privata wykładów o Polsce świadczy wymownie, jak zaczyna się interesować sprawą polską francuska Szwajcaria.

Odmrozenie

leczy i zapobiega krem D ra Wiegand'a, cena 5 marek. Składy apteczne: Freta 11. Hoża 41. Jerozolimskie 65. Krucza 34. Hurtownia perfumeryjna. Chmielna 27.

Ś. p. dr. Józef Brudziński.

Dnia 17 b. m. zmarł były rektor wszechniczy warszawskiej dr. Józef Brudziński. Należał on do rzędu tych rzadkich wybitnych jednostek, które w ostatnich latach wysunęły się na czoło naszych poczynań narodowych.



Dr. Józef Brudziński.

Dr. Brudziński przyjmuję żywy, czynny udział w poczynaniach politycznych Warszawy. Zasiada w Radzie Miejskiej i zostaje obrany na stanowisko pierwszego prezesa. Rektor Brudziński należał też do liczby tych siedmiu obywateli, którzy przed ogłoszeniem aktu Niepodległości jeździli do Berlina i Wiednia i pierwszy usłyszeli z ust oficjalnych przedstawicieli państw centralnych o mającej nastąpić proklamacji obydwóch Monarchów.

Dr. Brudziński od roku usunął się z widowni politycznej. Opuścił prezydium Rady Miejskiej, ostatnio zrzekł się rektoratu. Był predystynowany na stanowisko wiceministra oświaty.

Dr. Józef Brudziński umiera w stosunkowo wczesnym wieku. Przeżył za ledwie lat 43. Energia jego i żywotność kazały się spodziewać jeszcze wielu wydatnych czynów dla ojczyzny.

Dr. Brudziński, jako specjalista, od chorób dzieci, cieszył się wielkim uznaniem i poważaniem. Stał na czele szpitala dzieci im. Szlenkierów. Doktoryzował się we Wrocławiu. Ogłosił drukiem cały szereg prac z zakresu swojej specjalności.

Wśród przyjaciół politycznych, jak i znajomych pozostawia szczery żal po sobie.

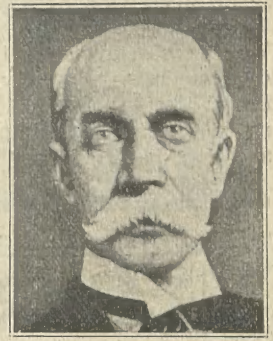
Na widowni — z tygodnia.



TROCKI, rosyjski minister, spraw zagranicznych, znany socjaldemokrata bolszewik.



Dr. von KÜHLMAN, sekretarz Stanu do spraw zagr. Rzeszy niem. wyjechał do Rzeszcia Litewskiego na pertraktacje pokojowe.



Lord LANSDOWNE, którego list o tendencjach pokojowych wywołał w Anglii żywe poruszenie umysłów.

II-gi Zjazd Drogistów.



Fot. Maryan Fuks.

Pierwsze planarne posiedzenie Drogistów w Warszawie.

Wydawnictwa Gwiazdkowe.

Niewielki plon miesiąc gwiazdka roku bieżącego dzieciom polskim. Mają one za to rzeczy bardzo wartościowe. Edward Słoński dał aż dwie pięknie ilustrowane, estetycznie wydane książki: „Prawdziwą wojnę“ i „Baśń o Białym Orle“. Cały sentyment swój włożył w te książki Słoński. Są one, jak płowa baśń opowiedziana kochanemu dziecku w zimerchu godzinę, Słoński dziecko odczuwa i rozumie. Potrafi przemówić językiem przystępnym a także pięknym do przyjaciół swych maleńkich. I mówi o rzeczach najdroższych tak prosto, tak miło, że napewno słowo jego spotka się z dużym zainteresowaniem i miłością. Obydwie książki dotyczą przytem serdecznej naszej tęsknoty, ojczyzny. Dzieci nasze wychowują się już, jako obywatele wolnej Polski. Trzeba w nich rozwijać godność i miłość dla budzącej się z niewoli Polski. Słoński patrzy przez oczy dziecka polskiego na wszystkie walki dnia dzisiejszego i daje im wyraz w płomiennym wezwaniu do szanowania świętości narodowych.

Obok Słońskiego staje bajkopisarz Benedykt Hertz z wierszykami dla najmłodszych naszych dzieci. Pięciolatki, sześciolatki będą napewno zadowolone z jego „Czerwonego kapturka“. Ilustracje robił B. Nowakowski. Drugą książkę swoją ubrał w opowiadanie prozą p. t. „Taś... Taś...“ Jest to „opowiadanie o tym, jak kaczorek poznawał świat“.

Pozatym mamy książkę ilustrowaną p. t. „Wesołe opowiesci“, przerobioną z Buscha też przez B. Hertza. W polskim przekładzie wyszła powieść M. Twain'a p. t. Królewicz i Żebrak“.

Gożąco polecić jednak należy książkę o Grottgerze napisaną przez p. Marię Gerson-Dąbrowską. Rzecz ta jest zilustrowana dziełami twórcy „Wojny“. Daje ona w liniach prostych biografię i rozwój artystyczny Grottgera na tle jego epoki. Młodzież z książki tej dowie się wiele interesujących rzeczy dotyczących sztuki polskiej i nauczy się kochać twórczość Art. Grottgera.

Nie bez zaciekawienia weźmie też do ręki młodzież nową książkę p. Józefa Szarzyńskiego p. t. „W Karpatach“. Jest to przystępny opis walk 2-iej brygady

Legionów polskich. Ciekawą też i miłą jest powieść p. Heleny Bobińskiej p. t. „O szczęśliwym chłopcu“.

Śmiała myśl miała p. Marja Dąbrowska, pisząc swoje „Dzieci Ojczyzny“. Dała w formie nowelistycznych pogawędek bohaterkie dzieje szermierzy wolności polskiej przez wiek XIX-y Na praktyczną znów stronę wychowania zwróciła uwagę p. Janina Mortkowiczowa w swoich pogawędkach p. t. „Z naszej szkoły“. Są to ciekawe opowieści, jak dzieci zrobiły sobie kalendarz, jak nauczyły się obserwować „dni pogodne, dżdżyste, słone i słoneczne“. Książki te powinny spotkać się z poczytnością.

Z pomiędzy wszystkich tych wydawnictw na czoło wysuwają się książki Edwarda Słońskiego. Mówi przez nie sentyment i miłość dla dziecka. Słowo jego polskie serdeczne, poetyckie jest przytem narzędziem niezawodnym, które krzese i opowiada o wizjach drogich, najdroższych. Słoński w tych opowieściach dla dzieci osiągnął rzadko spotykaną plastykę. Jest to w zawodzie jego literackim trwałe dorobek.

Historje o szczęściu i nocioie.

Historja Grecji i Rzymu służyła pokoleniom, jako wychowawcza piastunka. Wzory cnot rzymskich i greckich zapadały w dusze bohaterów nowoczesnych. Dostyć jest wspomnieć Kościuszkę, który na całe życie zachował pamięć dla snów swojej młodzieńczości. Zapewne tymi

względami powodowała się księgarnia J. Lisowskiej wydając „Historje o szczęściu i nocioie“, które opracował p. Stanisław Baczyński.

P. Baczyński w zbiorze swoich opracowań zamieścił historje o „Krezusie i Solonie“, „Krezusie i Cyrusie“, „Cyrusie i dziadka“, o „Szczęściu Polykratesa“, „Rządach króla Amarisza“, „Najeździe

Persów na Grecję“ oraz o „Leonidasie i jego towarzyszach“.

Z historii Rzymu wybrał p. Baczyński „Oblężenie Rzymu“, „Matkę i syna“ oraz „Regulusa“.

Książka ozdobiona jest archaizowanymi rysunkami art.-mal. B. Bartla. Powinna zyskać sobie sympatię młodzieży, dla której jest specjalnie przeznaczona.

L. WRÓBEL

KR. PRZEDMIEŚCIE № 25.

Poleca na nadchodzące święta:

WINA, WÓDKI, LIKIERY, BAKALJE,
KAWĘ własnej palarni, HERBATĘ i t. p.

SKLEP OBFICIE ZAOPATRZONY,
CENY UMIARKOWANE. 10457



W. K. KAZIBET

Marszałkowska 114. Chmielna 34.

Poleca z własnej fabryki wyroby rymarskie, podróżne i wszelką skórzaną galanterję. Przyjmuje obstalunki i reperacje. 10453

WYDAWNICTWO Tow. Akc. S. ORGELBRANDA S-ów Encyklopedia Handlowa

2 tomy

15040

Opr. Mk. 50.—

11 Ś-to Krzyska 11

MAGAZYN UBIORÓW MĘSKICH

S. ANUSZEWICZ

Poleca na sezon bieżący: Futra Bekiesze, Palta, Kurtki na futrze, garnitury (sport.), spodnie, burki stawuckie i t. p. Przyjmują się obstalunki z własnych i powierzonych materiałów.

Robota urzędowa.

10459

Ceny przystępne.

SKŁAD SZYB

L. DIETRICH

dawniej Ignacy Hordliczka.

Warszawa, Plac Teatralny № 21 (pod filarami).

Szyby inspektowe — lagrowe — prasowane — matowe — kolorowe — podłogowe — lustrzane szkła dla cukrowni — wszelkiego rodzaju rury wodowskazowe — djamenty — kit szklarski. 10461

Kazimierz Dakowski,

właściciel znanej w Warszawie cukierni w B A G A T E L I otworzył w wytwornie urządzonej lokalu przy Pl. Wareckim róg Siennej

SALA BILARDOWA.

FILJĘ SWEJ CUKIERNI,

którą poleca łaskawej pamięci Sz. Publiczności.

SALA BILARDOWA.

10456

JAN MATUSZEWSKI

33 CHMIELNA 33

TRZECI DOM
OD MARSZAŁKOWSKIEJ



FILJA

154 MARSZAŁKOWSKA 154
PIERWSZY DOM OD KRÓLEWSKIEJ

10448

PRACOWNIA Br. UNKIEWICZ WARSZAWA
Krawiecko-Kuśnierska Hoża № 54.

Poleca: Palta, Okrycia, Kostiumy, Spódnice, Futra, Kołnierze, Mułki.

Wielki wybór — Najnowsze fasony. 10440

MAGAZYN UBIORÓW MĘSKICH

Wacława Perendyka

SENATORSKA № 8. WARSZAWA. SENATORSKA № 8.

dawniej: SZWALBE, ŠACH i S-KA

Wykonywa wszelkie obstalunki. Na składzie wielki wybór materiałów. BURKI PODRÓŻNE. 10434.

Założony przez T-wo Kred. Ziemskie

Bank Ziemiański

MAZOWIECKA № 13

niniejszem zawiadamia, że wynajmuje

Skarbczyki stalowe (Safes)

przy opłacie rocznej od 30 marek i wyżej zależnie od wielkości skarbczyka. 10435

ALFRED KONAR

JESIEŃ

POWIEŚĆ

10393

Nakładem Kasy Przejrzystości Warszawskich pomocników księgarskich.

OSTATNIA POWIEŚĆ

JERZEGO ŻUŁAWSKIEGO

Laus Feminae

Cz. pierwsza POWRÓT

Mk. 4.50.

Cz. druga PROFESOR BUTRYM

Mk. 5.00.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

15701

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 22 grudnia 1917 roku.

Nr 51.

Wojsko polskie trzydziestego roku.

Mamy nareszcie książkę specjalną o wojsku polskim, które stoczyło wielką a regularną wojnę z zaborcą rosyjskim; książkę, napisaną przez historyka i oficera, źródłowo uzasadnioną a przystępnie ułożoną; książkę i do nauki i do czytania. Autorem jej jest dr. Wacław Tokarz, profesor jagiellońskiego uniwersytetu, znany historyk przelomowej doby, w której Polska chwiała się i traciła swój byt państwowy, oficer legionowy przytem a obecnie profesor historii szkoły chorążych w Ostrowiu. Nie przesadzamy, co powie o tem dziele fachowa krytyka, choć pewno długo trzeba by się oglądać za piórem polskim, któreby taką krytykę zdolne było podjąć. W imieniu zwykłego a lubiącego się kształcić czytelnika powiemy tylko, że prof. Tokarz zasłużył sobie na szczególną wdzięczność, dając nam do ręki dzieło, bez którego Rewolucja 30-go roku nie mogła być dostatecznie rozumiana dotychczas, a naj właściwie osądzoną.

Naród rzucił swój los na żelazne szale wojny. Przeto znajomość wojny tylko może dostatecznie jasno oświetlić ten akt determinacji i pierwsze jego skutki. Prof. Tokarz daje książkę bardzo upragnioną.

I czytelnik, dostawszy ją do ręki, odrazu biegnie okiem do kart, na których zawodowy pisarz kreśli postacie tych, co polskie losy trzymali wówczas w rękę: do generalicji naszej, i ze szczególną ciekawością, niepokojem i bólem zaostrzoną, zatrzy-

muje się nad rozdziałem, w nagłówku którego położono napis: „Starszyzna“.

*

Prof. Tokarz bierze generałów naszych „po starszemu na gałęź“ swej spokojnej a rzeczowej krytyki. Naprzód się generalami broni zajmuje; potem dywizjonerami; z kolei brygadjerami; i wreszcie pułkownikami, którym otworzył szerokie pola do dania swej istotnej miary.

Wszyscy ci ludzie przeżyli epokę wojenną, którą tylko obecnie przez nas przeżywana pod względem wojennej ciągłości i napięcia przewyższa. Jednak ciągle byli w złej szkole. Szkołą Napoleona wyrabiała świetnych kapitanów i doskonałych pułkowników; generalom nie dawała pola do rozwoju wyższych talentów. „Genjusz, stojący wówczas u steru, ogarniał wszystko, tłumiąc przez to rozwój talentów, doprowadzając do tego, że świetni w operacjach wspólnych marszałkowie francuscy zawadzili przeważnie w działaniach samodzielnych. Prawdą ta stosowała się w większej jeszcze mierze do wojska naszego, walczącego pod orłami Napoleona“. Konstanty, otrzymawszy armję doskonałą, ale bez świetnej starszyny, miał dwa zadania do wykonania: wydobyć z młodszej generacji pułkowników i generałów tych talentów, któreby mogły zastąpić ubytek dawnych wodzów, i wyrobienie ich przy pomocy ćwiczeń polowych.

Pierwsze z tych zadań Konstanty spełnił prawie że w sensie odwrotnym, mówi prof. Tokarz, usunawszy z armji naszej cały szereg samodzielniejszych i zdolniejszych pierwiastków. Nie lepiej spełnił i drugie zadanie, męcząc wojsko próżnemi paradami, a prawie że unikając ćwiczeń polowych.

Tak usunięto Chłopińskiego, jedyne go z polskich generałów, który był w stanie dowodzić armją; a dalej K. Małachowskiego, Sierawskiego, Umińskiego, Paca i T. Lubińskiego. Ci „nie byli orłami, ale w kampanję 1831 r. wnieśli przynajmniej największej dobrej woli i istotnej znajomości wojny“. Miejsce ich zajęli inni, bez porównania mniejszej wartości.

U szczytów armji, w charakterze generałów broni, mieliśmy szereg generałów, z których najzdolniejszym był Hauke a najnikczemniejszym Roźniecki. Izidor Krasieński był nieudolnym, Wincenty Krasieński tylko zręcznym, Stanisław Potocki dobrym Polakiem, ale przeciętnym oficerem.

Pomiędzy dywizjonerami: dwaj świetni nigdy pułkownicy napoleońscy są w roku 1831 zupełnie zużyci, — to Klicki i Weyszenhoff; jeden to wietrznik i intrygant — Krukowiecki; jeden kompletna miernota; i jeden „najświetniejszy niewątpliwie generał 1831 r. Józef Dwernicki“.

Ponieważ pochwała gorętsza rzadko podsuwa się pod pióro bezstronnego a krytycznego pisarza, powtórzmy za prof. Tokarzem charakterystykę tego polskiego wyjątkowego wodza: „W armji konstantynowskiej stracił on po części swój kredyt, gdyż był administratorem mocno nieszczególnym, choć pułk jego już wtedy wyróżniał się wśród jazdy. Dopiero powstanie miało okazać, że był on nieocenionym, jedynym prosto, organizatorem, który, mimo wszelkie

trudności, wystawił szybko trzy dywizyjony jazdy, a korzystał z każdej okazji, ażeby powiększyć nowymi formacjami swą grupę. Dopiero ono wykazało również, że był to niezrównany generał polowy, posiadający swą swobodną taktykę boju i użycia trzech broni, umiejący porywać swym osobistym męstwem żołnierzy, a ojcowską pieczołowitością o ich los zdobywać sobie popularność i trzymać ich w garści, mimo pozornie łagodnych rządów“.

Pomiędzy brygadjerami byli ..owi mieszczeli słuźbiści, którzy ponieśli śmierć z rąk podchorążych: Blumer, Siemiątkowski, Trębiński“; a dalej i tak niechętnie walczący Żymirski. Byli tu „generałowie literaci“: Mroziński i Morawski; „generał-gospodarz“: Szembek; „generałowie biuraliści“: Nowicki, Fredro, Hurtig, Sałacki. Do wielu można zastosować bez przesady ostre słowa Mierosławskiego: o „rasie zniewieściłych starców, co z tradycji wojen napoleońskich nic nie wniesli do sumy rozumu politycznego, prócz narowu bezwzględnej posłuszeństwa, oprócz gotowości słuźenia wszystkim rządóm i pobierania żołdu od wszystkich“. Z takimi ludźmi nie można było myśleć nawet o zaczęciu powstania. Już Chłopiński musiał dawać dymisie im, osłaniając je pozorem wysyłania ich na organizację. Za dowództwa Radziwiłła ten prąd uwydatnił się jeszcze silniej, gdy stwierdzono, że wielu generałów nietylko zawodzi w akcji, ale nawet zniechęca swych podwładnych zapomocą rozpuszczania alarmujących pogłosek. Po Grochowie prąd ten poszedł dalej.

I wtedy „dokonywa się u nas proces, tak dobrze znany z historii rewolucji francuskiej: rząd, szukając wodzów, zwraca się do niższych stopni“. I teraz „kategoria oficerów konstantynowskich wyciska zasadnicze piętno na dziejach naszego dowództwa“.

Do tych ludzi należy Skrzynecki, — „niewątpliwie najwybitniejszy z konstantynowskich pułkowników piechoty“. Jest on dzielnym dywizjonierem. Ale jako wódz naczelny staje się „odrazu rzeczniczką zwątpienia w siły nasze, uznania konieczności układow, odwoływania się do interwencji zagranicy, a co za tem idzie — zwlekania z działaniami wojskowymi i oszczędzania naszych sił“. Nawet przejście armji Paskiewicza na lewy brzeg Wisły i odebranie przez to powstaniu podstawy operacyjnej nie mogło go skłonić do zdecydowania się na rzeczy stanowcze“.

Najlepszymi jeszcze dowódcami wojny 1831 r. byli ci, którzy przeszli

szkołę napoleońską, a nie odbyli szkoły konstantynowskiej. Więc Chłopiński, Dembiński, Kicki, Bem, Chłapowski. System konstantynowski „wyjawiał szczyty armji tak bezwzględnie, że w 1831 r. nie mogły one wytrzymać porównania z dawnymi oficerami napoleońskimi, którzy po 15 latach bezczynności mieli w sobie więcej ognia, inicjatywy i oswojenia z bojem, niż długoletni wychowankowie Placu Saskiego“.

*

Książka prof. Tokarza mówi o wszystkich czynnikach armji 30-go roku. A zbyt wiele miałyby się ochotę z niej cytować. Musimy się jednak ograniczać. Mimo to nie możemy opuścić w tej krótkiej relacji ustępu, poświęconego zachowaniu się chłopów polskich w czasie wojny. Jakże

Alfred Konar.

POWIEŚĆ.

KARYERY.

59

Lecz to wszystko w chosie jej myśli wciąż znikalo; a dominował w jej mózgu despotycznie ten, który ją wczoraj tak bezlitośnie opuścił, który przez cały czas trwania tej miłości — rzucał jej jawnie w twarz pogardę, tak brutalną, jakiej nie zaznała nigdy; nawet ze strony wykreślonych z jej myśli tych dawnych ulicznych wielbicieli.

Czuła, że go nienawidzi nie mniej, niż Horskiego; lecz uginała się cała bezsilna pod ciężarem despotycznych myśli, przeświadczona, że z tych klezszczy nie uwolni się nigdy.

— Nienawiść jest uczuciem silniejszym od miłości. Miłość unosi na swych skrzydłach po nad ziemię. W nienawiści zatonać można, jak w potopie, lub spalić się w perzynę, jak w ogniu... Miłość — to kwiat twórczy. Nienawiść — to owad zniszczenia. — W końcu nie wiedziała już nawet dokładnie, czy miota nią krytyczna nienawiść, czy też jakaś inna potęga uczucia.

Wreszcie złamana gorączką, bezsilna — nad ranem dopiero zasnęła.

Lecz ten chorobliwy krótki sen nie uspokoił jej dygocących, jak struny, nerwów. I, powróciwszy nazajutrz z rannej kąpieli — do swego cabinet de toilette, febrycznie trzęsła się cała w koronkach swego penjuaru i w zarzuconej etolji sobolowej.

Nie będąc w stanie przełknąć przygotowanej herbaty i ulubionych toa-

różnym ono było od tego, czego smutku pełnym świadkiem było powstanie 63-go roku. Chłopi w 1831 r. „dostarczały mu wybornych wywiadów-ochotników, donoszących o każdym ruchu przeciwnika. W czasie większych poruszeń armji rosyjskiej pod Kostrzyniem, na jej tyłach zapalano stodoły, z zamiarem zawiadomienia o tem naszych wojsk. Każde zarządzenie, każda koncentracja rosyjska dochodziła do wiadomości wojska polskiego.

Niestety, nie zawsze umiano korzystać z tej pomyślnej dyspozycji chłopów i drobnego mieszczanina polskiego. Służba wywiadowcza, mimo tę pomoc, była w 1831 r. nader wadliwa. I prof. Tokarz oświetla to wielu przykładami, które i pojedyncze walki i ogólne rezultaty kampanji całej czynią bardziej dla czytelnika zrozumiałymi.

A. P.

stów — nie miała sił dojść do dzwonka, by zadzwonić na pannę słuźącą, która czesała ją codziennie i do śniadania ubierała.

Naraz ze zdumieniem dostrzegła w swoim pokoju zjawiającego się Horskiego w zaniehdanej piźamie.

Był pochylony, poźółkły, sterczący, z bardzo nieznacznymi śladami dawnej urody. Uginał się pod kłopotami spraw odziedziczonych po Zannettim, nie nadając się zupełnie do roli plenipotenta bardzo zagmatwanych majątkowych spraw żony.

Oszukiwano go na dywidendach akcji i na dochodach z ziemi. A wydatki, pomimo gusj oszczędności żony — były olbrzymie. Coraz częściej na zapłatę rachunków — podpisywał uciążliwe weksle.

Na domiar złego od czasu że-niaczki praktyka lekarska bardzo zmniejszyła mu się. Pacjenci najwidooczniej stroniłi od ceremonjału przyjęć lekarskich — ze zgrają zbyt licznej liberji w pałacu tego już nieznanego ongi lekarza, lecz obecnie już jedynie męża księżny.

Lecz dziś nie o sprawy majątkowe chodziło Horskiemu. Nieprzytomnymi drżącymi rękami przekładał bezmyślnie książkę i bibeloty na stoliku, nie wiedząc, jak rozpocząć przykrą rozmowę.

Irena wstrząsała niecierpliwie ramionami na widok jego niezręczności.

Nie mógł wybrać sobie mniej stosownej chwili do odwiedzin. Nerwy dygotały w niej, jak szereg dzwonek telegraficznych.

— Czemu zawdzięczam szczęście widzenia cię o tak niezwyklej porze? — zapytała go z nienawiścią.

Obłany tuszem zimnych słów — stawał do walki:

— Nie wiedziałem, że należy na stemplowanym papierze podawać tydzień wcześniej prośbę o audjencję u żony.

— Dałam ci raz na zawsze upoważnienie do traktowania wszystkich spraw bezemnie — wyzywała go w instynktownem proroczym przeczuciu, że rozegra się między nimi nie małe znaczną sprzeczka małżeńska, lecz jakaś chwila przełomu.

— Jestem nietylko plenipotentem, lecz i mężem twoim, Ireno.

— Widać to po twojej ślicznej piźamie. Lecz pocóż te wielkie słowa? — wzruszyła ramionami z jadowitym uśmiechem. — O cóż właściwie chodzi? — miażdżyła go lakonizmem, zięjącym pogardą. — Słucham.

— Powiedz, czemu ty mnie nie nawidzisz? — zmienił odrazu swój ton na bezsilną żebranię. Przecież nie mogłem zmienić się tak dalece od dnia naszego ślubu. Nie jestem komedjantem, który potrafiłby przedtem podstępnie przedstawiać się w innym zupełnie świetle. Przecież, zdecydowawszy się zostać moją żoną, nie będąc już podlotkiem, musiałaś wiedzieć, co czynisz. Musiałaś mnie kochać. To nie był przecież żaden przejściowy szal, ani małżeństwo dla kariery. To była wielka, pierwsza, jedyna miłość młodzieńcza dwojga ludzi, których niebo stworzyło wzajemnie dla siebie, aby pospołu przeszli razem ramię przy ramieniu — całe życie. Czyż nie tak?

Zerwała się z siedzenia i, dygotając, oparta o marmur swojej gotowalni — wybuchła lawą druzgocących pocisków — cała zapieniona, nieprzytomna:

— Czemuś nie zaślubił mnie wtedy, kiedy przed dwudziestu z górą laty skradłeś z moich ust pierwszy dziewiczy pocałunek? A potem rozkochaną czemu porzuciłeś na bruk, który stał się moim uniwersytem, uczelnią błota, brudów, rozpusty? Śpiewałam z nędzy w czwartorzędnych tinglach miast portowych, pełnych marynarzy, Greków, Turków, Boerów, Murzynów, Tatarów, szumowin całego świata...

— Nie badałem nigdy tajemnic twojego przeszłego życia.

— Trupy zatopionych wypływają na wierzch. Poślubić należało było mnie wtedy, kiedy byłam niewinną dziewczyną. Bo do miłości w wielkim stylu jest zdolną jedynie kobieta — która nie znała nikogo poza swoim pierwszym mężem, będącym jednocześnie jedynym jej kochankiem do grobu. Tylko taki człowiek może zapełnić jej życie. A reszta to wszystko przechodnie, etapy chwilo-we, miłostki, kaprysy i rozpusta. Istnieją mężatki, nie mające żadnego kochanka. Niema takich, które miałyby tylko dwóch. Bo dwóch, czy dziesięciu, to przecież wszystko jedno!

— Powtarzam ci: twoja przeszłość nie do mnie należy.

— A czy ty sądzisz, że przeszłość można z duszy zetrzeć, jak gąbką tabliczkę szyfrową? Wszystko, co przeżywamy — wyryte jest w nas na wieki. Ta cała przeszłość jest terazniejszością, tkwią we mnie niezatarta. Człowiek, który odejmie dla wygody ukochaną kobietę na lat dwadzieścia wszystkim, którzy tylko mogli ją oplącić, a potem zadawalnia się resztkami jej duszy, zakupionemi trafunkiem na wygodnej licytacji — mógł tylko pożądać tej kobiety, lecz nie kochał jej. Bałeś się ubogiej panny z ciężarem niewygodnego jej rodzeństwa na karku. Wniosłam ci księstwo, mojej matce dobrobyt, ten dobrobyt, dla którego nie wahała się pchnąć mnie w ręce tego wstrętnego, odrażającego kaleki-starca, aby tylko mnie zaślubił i zapisał majątek, którym wyposażyć trzeba było drugie brzydkie córki i zabezpieczyć jej starość. A przecież powinnaś być wiedzieć i czuć, czem jest dla młodej dziewczyny sklerotyczny, rozpustny starzec, który umarł w mojej sypialni. Widzę twarz jego fioletową, kiedy nad ranem ujrzałam leżącego obok siebie trupa. Ksiądz pobłogosławił ten związek i moja matka i inne matrony uśmiechały się i winszowały mi kariery. Boże! Cóż za ohyda! Ohyda! — wstrząsnęła się z obrzydzenia na samo wspomnienie. — Tak. Lecz jadło gotował mój kucharz przy pomocy kuchcików. Potrawy na srebrze i złocie podawał maitre d'hôtel. Miałam zgraję lokali, szofierów, stangretów i groomów. Przyjaźniły się ze mną królowe. Ha, ha! Przekonałam się, że niema na świecie kariery, dla której by warto poświęcić czystość własnej duszy, choćby świat godził się na te brudy i zamykał oczy. W królewskich szatach, z duszą żebraczką poznałam, co znaczy zaspakajać swoje pragnienia błotem, którego niesmak sprawia o-

brzydzenie, jak kiedy przełknie się coś cuchnącego. Tego smrodu nie zatrze czara z kryształu, ani ze złota. Byłam od natury dobrą; kochałam matkę, siostry, koleżanki, rodzinę. Byłam zdolną; zdobywałam za nauki nagrody. Byłam piękną. Te wszystkie skarby dane mi były przez Boga, aby przyczynić się do szczęścia innych i samej być szczęśliwą. A coście wy ze mnie zrobili? A co zrobiło życie, administrowane despotycznie idjotyzmem i fałszem waszych ambicji, próżności i innych lilipucich ułud wegetacji? Zrobiliście ze mnie demona, który w pogoni za nienasyconą nigdy chimera rozkoszy — sieje dookoła piekło wstydu, śmierci i hańby.

Wypiła duszkiem szklanekę wody i z błędną oczami mówiła — nieprzytomna prawie, jakby do siebie, nie widząc wcale Horskiego, który z twarzą zakrytą dłońmi — siedział w rogu na fotelu.

— Zepsuta erotycznie do szpiku kości — przechodziłam odtąd z rąk do rąk, jak nałogowa pijaczka, czując zawsze obok siebie trupa. I naraz po całych latach — strzeliła mi do głowy myśl jakiejś bohaterki Ohneta: Oto porzucę księstwo (ofiara niewielka; miałam tej kariery po szyję) i przemienię się w skromną, grzeczną panią doktorową. Stanę w mirtach i w bieli na kobiercu ślubnym obok jedynego ukochanego z lat młodych. Omyliłam się. Już zapóźno! Ty nie jesteś tym studentem z Jędrzejewic z przed laty dwudziestu; ja nie jestem tą czystą, welinową dziewczyną. Wszystkie grzechy występnej przeszłości — niby widmo niezatartych plam na czole, krwawym stygmatem stały pomiędzy nami. Zatopione trupy wypływają na wierzch. Tem gorzej, że spragniony mojej urody — zamykasz dla własnej wygody oczy. Ów ukochany mój ideał z przed lat dwudziestu nie przystałby na tę ugodę. Voilà — rzuciła się na fotel w bolesnem wyczerpaniu, jakie odczuwamy po mimowolnem śród ekscytacji wywnętrzeniu się, które nietylko ulgi nie przyniosło, lecz i żal po niewczasie — Voilà!

— A więc tak — jak żebrak, umiatając się przed nią Horski w niewoli jej esprit de corps, który zamykał mu oczy na potworność jej skalanej duszy. — A więc tak. Wspólne winy, wspólne pomyłki.

— Za pomyłki życiowe płaci się dożywotniemi katuszami!

— To okrucieństwo zbyt wielkie, zbyt despotyczne. Po cóż to samoudręczanie? Czyż nie lepsze są wzajemne ustępstwa?

— Zapóźno! Każdy atom mego jestestwa tak przesiąkł złem, że bez niego żyć nie może i lubuje się tem złem, jak palacze opium. Tak nałogowij pijacy zatrująją się coraz większymi dawkami haszyszów, szukając w tym obojętnym i gangrenującym jądzie — zapomnienia.

— Od czegoż wola, środki ratunkowe?

— Czyż nie znasz tragedji tych pijaków, którzy ze wstrętem opuszczają szynki i z największą pogardą dla samych siebie powracają.

— Chcę cię ratować, Ireno. Chcę być lekarzem twojej duszy.

— Zapóźno!

— Wiem, że nie jesteś już tą czystą, bez skazy oblubienicą; lecz i ja nie jestem już studentem. W walce życia nietylko słabną siły, lecz zciera się i ta młoda, jasna, dana nam przez Boga dusza, która śród zabiegów o chleb, wydzierany braciom śród zawiści i podstępnych intryg — tępieje, maleje, brudzi się... Masz słuszność, Ireno; w pogoni za tą kuszącą nas karierą, do której zaprzęgają nas od młodu — zmieniamy kolejno wszystkie skarby młodości na ten blichtr szczęścia, mający wzbudzać dokoła zawiść. Nareszcie jest już ta karjera. A ludzie mówią o nas z przekąsem: *Il se gobe d'être arrivé!* *Self-made-man!* I ani spostrzegliśmy, żeśmy śród tego wyścigu o pierwszą nagrodę stracili naszą duszę... A nowych zapasów młodości już się nie znajduje! Jesteśmy bankrutami. Tak, Ireno! Winy nasze są wspólne. Lecz jesteśmy godni siebie. Postawiliśmy wszystko na jedną stawkę kariery i jesteśmy oboje bankrutami. Jak rozbitki, ratujmy więc teraz te resztki, które nam pozostały. Niepomni na wyboje życiowe, na manowce, pełne błota, na bóle, rany i pociski, które nas śród walk kieroszowały — jak rozbitki, ratujmy przynajmniej nasze wspomnienia, tej pięknej wspólnej młodości, która nas łączy. Zima się zbliża. Rzuciłaś księstwo dla miana skromnej doktorowej. Nie porzucaj tego skromnego, lecz uczciwego stanowiska, zstępując po stopniach coraz niżej.

— Co z błota powstało — w błoto się obróć — zakiełkowało jej naraz w mózgu.

Horski drżącemi od wzruszenia ustami ciągnął dalej:

— Śniegiem całunu pokrywają się przecież zarówno piękne polany, jak i błota; rany się goją bez śladu.

— He! he! Nigdy, nigdy!

— Tylko bądź dobrą; nie pastw się nademną. Ja wiem, że i ty sama cierpisz. Lecz porzuć ten szal

złości, którym chcesz wszystko obrócić w perzynę, zarówno mnie, jak i siebie samą. Ja wiem: to rozpacz gna cię w tę anarchję życia. Jakieś szatany złego podszeptują ci, abyś przez zemstę nad samą sobą, podeptawszy wszystko, runęła w przepaść, zaciągając wraz z sobą tych, którzy się do ciebie zbliżyli. Ja chcę ocalić cię, Ireno: opuścimy Warszawę. Zwrócimy wierzytelom wszystko. W małym mieszkanku na prowincji wezmę się do pracy. Zarobię wszędzie na

skromny wspólny byt. Nie obawiaj się. Nie zaznasz nigdy ze mną niedostatku. Nie dam ci zginąć; lecz nie dopuszczę, abyś przemieniała swoje ognisko w kałuże. Zapuściłaś cały dom, spóźniasz się na obiady. Staję się pośmiewiskiem służby, która poza oczami drwi sobie z nas. Wczoraj wieczorem sprowadziłaś sobie do domu jakiegoś młodzieńca, który przebył z tobą w salonie przeszło do północy.

Dalszy ciąg nastąpi.

Marcelle Capy.

Przekład L. R.

Głos kobiety wśród walk.

MATKI.

Brak mi słów na opisanie wzruszenia, jakiego doznałam na widok odjeżdżających sierot. Ci, którzy głoszą hymny pochwalne na cześć wojny, powinni by przyjrzeć się podobnym widowiskom.

Było około stu dzieciaków różnego wieku i wzrostu. Kobiety w ciężkiej żałobie odprowadzały je: matki, babki, siostry, ciotki, przyjaciółki. Stroskane miały twarze. Zwierały się wzajem — nie znając się wcale, bo zbliżyło je jedno cierpienie. Opowiadały sobie o swych nieszczęściach.

— Straciłam trzech braci i męża, mówiła jedna. Wyczerpałam oszczędności. Tej zimy nie będę miała za co kupić węgla. Muszę rozłączyć się z dziećmi.

— Mniej straszną była dla mnie wiadomość o śmierci męża, niż teraz rozłąka z synem, mówiła inna.

— To pani syn?

Pomarszczona, mała staruszka odwraca się. Trzyma na ręku tłustego, uspiętego malca. Ciężar jest niemały, lecz miłość sił jej dodaje i tuli go pieczołowicie do wychudłej piersi.

Biedna starowina w czepku krepowym i pelerynce, obszytej haftem, wyszarzała pamiętkę z lepszych czasów.

— Syn mój padł, jak tylu innych, mówi. Synowa umarła przed miesiącem. Jestem zupełnie rozbita...

— Oddała się z gestem tragicznym w swojej znoszonym odzieniu ze swym słodkim ciężarem.

Dalej gromadzą się około młodej kobiety, z niemowlęciem na ręku.

— Sierota?

— Tak. Bez ojca i matki. Matka umarła rodząc. Byłyśmy sasiadkami — a więc zajęłam się malcem. Nie ma nikogo na świecie.

— Rozczulone kobiety spoglądają na bezkształtną jeszcze twarzyczkę, jak gąłka, sterczącą z białych opowić. Jedną z nich odzywa się:

— Najlepszy to z uczynków, ocalić takie maleństwo. Coby się stało, gdyby miłk się niem nie zaopiekował?

Coraz świeże gromadki dzieci napływają. Niektóre dźwigają tryumfalnie wiaderka. Powiedziano im, że tam w Etretat jest dużo piasku i marzą o zamkach, które będą budować.

Inne potrząsają sznurami. Mała, jasnowłosa dziewczynka kołysze ostrożnie lalkę, której pozostało tylko jedno ramię. Dzieci zaznajamiają się szybko. Starsze opiekują się młodszymi. Dzieciak uśmiechają się, lecz raz po raz spoglądają na matki, które mają opuścić. A kobiety odwracają głowy, by ukryć łzy.

Organizatorki kolonii, „przybrane mamy“, krzątają się, rozdzielając uśmiechy, pieśczęty i słowa otuchy.

— Czynię wszystko, co w mej mocy, by wmieszać trochę wesołości w te pożegnania, mówj mi jedna, lecz mnie samej ścisła się serce.

I słyszę jej głos o kilka kroków dalej:

— Ah! To ty, Pawełku!... Czy dać ci cukierka?... Niech się pani nie boi, będzie spać w pociągu!... Kaszle to maleństwo? Lekki katar, będę czuwała nad niem!... Napiszemy po przyjeździe.

Jej macierzyński głos uspakaja, zapewnia, dźwięczy jej śmiech, a matki szeptem udzielają wskazówek: „Proszę uważać, by nie wychylał się z okna i t. d. i t. d.“ Wysłuchując próśb, dla wszystkich ma dobre słowa i pieśczęty dla każdego dziecka.

Tłum rozstępuje się przed kaleką. Młody chłopak ma uciętą nogę. Postukują na bruku szczydła.

Był sam w kraju. Opuszczony kaleka nie wiedział, co począć. I oto przyjechała go w swój poczet kolonia w Etretat. Powróciła mu wesołość i radośnie kroczy na swych drewnianych nogach. Kobiety patrzą nań ze smutkiem.

* * *

Chwila rozłąki, bolesna chwila dla wszystkich. Organizatorkę podwajają czujność.

— Napisze, gdy staniemy na miejscu!... Uściskaj mamę!... Do widzenia babciu!... Zobaczę morze!.. Jedziemy na wakacje!.. Uważaj na swą lalkę!.. Przekona się pani, jak zdrową buzię mieć będzie za kilka dni!

Dzieci oddalają się, jedno po drugim. Niektóre odwracają się, rączką posyłając całusy. „Przybrane mamy“ wzięły na ręce niemowlęta i kołyszą je łagodnie.

— Do widzenia wszystkim.

I matki w żałobie zostają, bezradne. Ciężkie łzy płyną po licach. Mała staruszka w wyszarzałej pelerynce szlocha żałośnie.

Biedne kobiety, którym wojna zabrała mężów i synów, a pozbawiła ostatniego grosza...

UMARLI.

SPOKÓJ UMARŁYM.

Po co szkielety, którym pieczołowicie zaludniają swe opisy niektórzy literaci, zaopatrzeni w przywilej wartości pól walk — w charakterze widzów i po skończonej bitwie? Po co prześladować aż poza grób umarłych? Po co ta radość wobec trupów? Po co tak pochopnie opisywać tragiczne zniszczenie tylu młodych istnień? Po co uragać skrwawionemu nieprzyjacielowi, którego powalił granat? Po co rozgrzebywać kupy trupów i ze złowrogą radością liczyć ciała tych, których przypadek dał nam za wrogów?

Sto tysięcy Niemców zginęło — powiadacie. I uśmiechacie się. Tysiące naszych zginęło także. Szumne mi słowy i wielkimi giestami opiewacie ich przedwczesny zgon.

I nie stać was na łzę po tylu zniszczonych nadziejach i siłach...

Zamilozcie!

* * *

Leżą bezładnie, z przedziurawioną piersią lub strząskaną głową. Śmierć ich pogodziła. Natura rozciąga nad nimi swe niezłagane prawo.

wnikną jedną w drugich, ci, którzy wrogami byli wczoraj, a dziś wspólnie toczy ich śmierć. Mielę lat dwadzieścia. Kochali. Chcieli żyć. Zmiotły ich kule. Z poza zaciśniętych warg ostatnie wydały tchnienie. Być może — byli piękni — a teraz ich szczątki zaturawiają powietrze.

Pozostawcie ich. Winniśmy im litość, iktokolwiek są.

Nie krąźcie, jak kruki, wśród rozkładających się ciał. Zaprzeście krzyków nienawiści i szumnych tyrad. Na chwałę nie rozdziera się całunów.

* * *

Kto nie dźwiga karabinu, niech ręką użyje na kolenie ran. Pomocy domaga się głęboka nędza i pociechy straszliwe bóle. Ukończajcie słabych, małuczkich, cierpiących. Ocalcie żywych.

A umarłym zostawcie spokój śmierci.

SKON JEDNEGO Z HEROLDÓW: LEONA BONNEFF.

Jeden zaginął, drugi zwolna ulega ranom. Ich złączone imiona dobrze były znane tym, którzy myślą i sercem chcieli zrozumieć ogromną siłę i ogromny ból współczesny: pracę. W dziele i artykułach zebranych pod tytułami: Ciężka dola robotników — Zabijająca praca — Klasa robotnicza. Leon i Maurycy Bonneff odstonili okropność fabryki, magazynu, warsztatu, gdzie w męce wypracowuje się prawie wszystko niezbędnie potrzebne.

Podali coś więcej, niż cyfry i fakty, nie tylko obraży skreślili, lecz dali przekrój samego życia; szloch nędzy i najgłębszą nadzieję życia robotniczego.

Dzięki wielkiej miłości i sprawiedliwości, która przebija się w obrazach i opisach lut, min, tkalni, wyławia kwestję niewdzięcznej pracy matek, opuszczonych kobiet, codzienną martyrologię nory za sklepem, lub suteryn — karty książek braci Bonneff pozostaną na zawsze przygniatającym świadkiem niewolniczej pracy wieku maszyn.

Oni pierwsi posłyszeli i zrozumieć skargę środowisk przemysłowych, pierwsi okryli piękno męskiego wysiłku i mękę zarobnika. Odślaniali — jedną po drugiej, rany proletariatu, domagającego się pomocy. Przygarniali kaleki, chorych. Wszystkie ofiary. Oni odkryli, jakie spustoszenia czyni choroba płuc, pilnie nawiedzająca tłum robotniczy na Północy. Oni przedstawili światu bez-

923
nadzieiność życia tego tłumu, który garnie się do karczmy po zapomnienie. Dzieło ich jest potężnym freskiem ku chwale pracy, ku hańbie wyzyskiwaczy. Pozostaną na zawsze twórcami nowego poglądu.

Dokłada się obecnie starań, by odnaleźć ślad Maurycego Bonneff, który zaginął przed kilku miesiącami. Brat jego, Leon, raniiony na polu bitwy, gaśnie w szpitalu.

Teraz, gdy zmora wojny złączyła się z tragedią pracy, tem żywiej odczuwa się wartość takiego umysłu i takiego serca. Z bólem, lecz i ze czcią skłaniamy głowy przed spuścizną. Zgasł autor, ale zostanie dzieło, historia przeklętej pracy.

Krwawią się rany, zadane społeczeństwu, i właśnie robotnikom przypadnie obowiązek je opatrzeć. Na przekór wojnie tworzy się nowa ludzkość i mimo wszystko żołnierza zabitego ręką nieprzyjaciela z głęboką nadzieją żegnamy.

ŚMIERĆ JAURÉS'A.

Jaurès umarł. Skoro rozeszła się ta smutna wiadomość, trudno było uwierzyć. Czy podobna, by człowiek o tak wielkiej umysłowości, tak potężny — nagle przestał istnieć? Niestety! Zbrodnicza ręka zapaleńca wykonała nieublagany zamach i cały intelektualny świat pograżyła w żałobę.

Pamiętam dzień, w którym słuchałam jego przemowy. Było to w Tuluzie po śmierci Tolstoja. W sali teatru Variétés mówił o wielkim piarszu rosyjskim.

Jaurès miał mówić... Tłum cisnął się po bilety i rozchwytywał je w lot. W oznaczonym dniu, było to w czwartek, ogromna fala ludzi zalała przedsiónek teatru. Zbiegła się cała inteligencja miasta. Było nas trochę studentów — chciwych wykładu. Stał się w słońcu i kurzu, niecierpliwie oczekując na wielkie słowa. Zwolna zapełniły się ławki. Jeszcze tłum zbyt liczny tłoczył się w drzwiach, gdy ukazał się Jaurès.

Barczysty, o potężnej szyi. Z promiennych oczu biła zrównoważona siła. On sam miał w sobie więcej życia, niż cała młodzież, czekająca z zapartym oddechem, by odezwał się władcy głos. Na malej, banalnie przystrojonej scenie wydawał nam się tytanem, dzierżącym los świata. I wielka cisza zaległa salę, gdy padły pierwsze słowa. Nie znaleźmy go, nie wiedzieliśmy zgoła nic o jego życiu politycznym, nie czytaliśmy jego artykułów. Mieliśmy niespełna lat dwadzieścia... A jednak opanował nas na-

tychmiast. Obudził w nas entuzjazm. Dusze nasze, czułe na piękno i prawdę — podniecił słowy, których nie słyszeliśmy dotąd. Nie był trybunem przekonywującym tłum, ani wytrawnym literatem, był równocześnie tem wszystkiem — lecz i czemś nieskończenie większem. Przymknąwszy oczy, drżeliśmy słuchając dźwięku jego głosu, przyjmowaliśmy w siebie błyskawice myśli. Był jakoby płomiennym Południem. Kiedy zmęczony skończył, ręce same złożyły się do oklasku, okrzyk wydarł się z gardła. Odsonił oczom naszym nieznanne horyzonty. Na godzinę oderwał nas od naszego ubożego życia, za ledwie poczętego, a już bogatego w rozczarowanie.

Naszą głęboką wdzięczność zawarliśmy w okrzyku i w oklaskach. Najlepszą cząstkę duszy składamy mu w dani. On, spokojny wśród rozpetanej burzy namiętności, z wolna oddalał się — i zniknął za kulisami.

Odtąd pamięć tego człowieka świeci przechowaliśmy w sercach.

Jego siła, rozmiar inteligencji, potęgą żywotności, porywała za sobą wszystko, co było młode, przepojone prawdą.

I dlatego dziś, pominąwszy wszelkie koncepcje polityczne, myśląca młodzież łzami oblewa trumnę, w którą brutalna przemoc zepchnęła człowieka.



CHARAKTERY.

Bezinteresowna.

Eulalia zrywa się o świtanii i w starych pantoflach, nałożonych na boscie nogi, staje do pracy. Gotuje śniadanie dla męża i dzieci, sprząta dwa małe, ubogie pokoje, trzepie chodniki i pościel. Łata i szyje bieliznę, ceruje pończochy, z sukien zniszczonych przerabia ubranka dziecinne. Pomaga pracować służącej, prasuje, zmywa. W południe przyrządza obiad, bacząc, aby był niedrogi, a zarazem smaczny. Męża powracającego do domu wita w szlafroku, czerwona od żaru kuchni, rozczochrana i brudna. Wie bowiem, że wybaczy jej wszystko ten człowiek dobry i prosty, zmęczony pracą, jak ona.

Po obiedzie Eulalia rzuca się na sofę i snem kamiennym śpi całą godzinę. Budzi się z uśmiechem, wypoczęta, radosna. Idzie do łazienki i w wodzie gorącej myje się od stóp do głowy. Wkłada bieliznę czystą, cieniutką i pachnącą, którą sama okryła haftami. Piękne, rozczochrane włosy czesze przed lustrem długo. Ogląda i gładzi dłonią pończochy jedwabne, mocno na małych stopach sznuruje obuwie dobrego kroju. W kapeluszu ciemnym i płaszczu uśmiecha się do lustra, widząc swą miłą, młodą postać, odzianą tak ładnie.

Wychodzi z domu, niezatrzymywana przez nikogo, i oddawna znanymi ulicami idzie do kochanka. Mija marmury, kwiaty i służbę życzliwą pałacowego przedsiönka, po miękkim dywanie wchodzi na piętro, staje u drzwi dębowych. Drobnny, chorowity, smutny starzec, rozjaśniony od jej widoku, bierze ją w stę-

sknione objęcia. Eulalia zdejmując okrycie i idzie w głąb mieszkania. Zawsze jednako radosnymi oczyma patrzy na przepychy mebli, tkanin i obrazów, rozoznaje piękno kobierców yczdeńskich, naczyń starych i dzieł sztuki. Wacha kwiaty, ustawione wszędzie na jej przybycie. Macza usta w kieliszku wina i zjada pół małego ciasteczka. Słucha słów tkliwych, przyjmuje pieszczoty, ciesząc się, że sprawia sobą taką radość.

Przed godziną wieczerzy Eulalia wraca do domu. Nie zabiera ze sobą ani jednego kwiatka, ani jednego podarunku. Zabiera tylko pamięć godziny, spędzonej pośród przepychu i kultury, pośród wyższego świata. Zabiera wdzięczność niezmierną starego bogacza, którego pod koniec dnia nawiedziło nieznanne szczęście bezpłatnej miłości.

Z. Rygiel-Nalkowska.

Stanisław Falkiewicz.

NOVELA

Ordynans bojowy.

6

Stasiek zatrzęsł się cały od szlachu i padł na zwłoki. Głową uderzył w przebitą, stygnącą pierś.

Wrzątek i war bitewny ucichał. Noc ukojem i przepychem gwiazd okrywała pobojuwisko. Chłód dżdżem leciał na spieczone, czarne wargi i przekrwione gorączką oczy. Żołnierze powstawali i przeżyli ramiona.

Rannych znoszono do odludnej na skraju wsi chaty, gdzie doktor Koźniewski założył punkt opatrunkowy.

W różnych miejscach dogorywające pożary wzniewały na niebie luny.

Na linii wybuchały pojedyncze strzały. Miejscami do pojedynczych, odosobnionych przyłączały się rychło milczące karabiny i odpowiedzi wedet grzmiały w coraz szybszym tempie, by niebawem rozlać się gwarem i bulgotem górskiej strugi, zagnęła, po burzy na dalekich szczytach wezbrana. Ogień z każdą sekundą żywszy zarażał zamilkłe, głuche lasy i obejmował coraz większe odcinki. Czujność po linii wzrastała. Budził się żołnierz z ciężkiego snu i — w pierwszym wielkim boju — karabin złożywszy na nasypie, prał w ognikami krwawymi rozkwitającą stronę. Żaren tysięcy obrotów zawrotne i gwar — strzałów karabinowych bu-

rza, maszynowych chwilowy suchy trzask.

I nagle na czarnej mocy horyzencie wykwitwały dwie, cztery iskry. Lukami błyskawicowymi rysowało się sklepienie i z sykiem i świstem, ciężarem taranów i wściekłością ptaków olbrzymich uderzały dwa, cztery większe pociski w ciemną, warem i bełkotem kipiącą dolinę. Mrok rozdzierały czerwone błyski wybuchów i — nastawała cisza, bieżyskiem dział nakazana. Po chwili nadpływał huk z nad horyzontu. I znów czas mierzyły pojedyncze strzały wedet śród zawieruchy echi, coraz dalej po lasach błędzących.

Noc ukojna tuliła bojem dziennym z mordowane serca. Gwiazdy czuwały, wświecając się poprzez mroki w pole śmierci.

Dopiero na odgłos licznych kroków podniósł głowę z nad piersi braterskiej. Z szeregu milczących cieni — zaginał na kurhanie czas i zaginęła przestrzeń — niewiadomo było, na którym już świecie tuliła październikowa noc strudzone głowy strzeleckie — pochylił się ktoś łaskawie i zleciał na Staśka szept.

— Kto tu, czy ranny?

— Ja, obywatelu poruczniku — zenwał się na równe nogi i meldował głuchym głosem, poznawszy komendanta saperów Dąbkowskiego — to mój brat, zabity.

Pomocnik przydzielił dwu żołnierzy z łopatami, którzy przed świtem usypali kurhan nad Stefanem i duży krzy jodłowy zatknęli pod grzbietem wydmy.

Ledwie jasność dniowa w doliny się wsączyla i mgła po ugorach pływająca zczeszła, ledwie słońce zajaśniało rażącym rozgorączkowane oczy blaskiem, zaczęła się znów nad Łaskami burza.

W ostatnim dniu bitwy wściekłość wroga leciała gęstwą pocisków na wieś i las poza nią. Stada szrapneli z gwizdem i jękiem darły powietrze, tam i sam rozpękając nad kalenicami chałup. Snopy kul dziurawiły strzechy, żelazne czerepy wpadały w stodoły. W drogę przed wsią i w węgił domów rzuńły chwilami granaty i pożar obejmował zabudowania. Czarne kłębowiska dymów i płomieni słupami podpierały pogodny sklep nieba w kilku miejscach długiej, wiorstanej ciągnącej się wsi. Rozjęzione kłucze salw wściekłymi razami chłostały las, szukając stanowisk baterji. Raz wraz ziemia drżała w nagłych wstrząsach. Rozlegał się w odpowiedzi ryk dział, w pobliżu stojących, i piskliwe ujadanie górskich armatek pod wiatrakami.

Z każdą chwilą gorączka bojowa wzrastała i potęgował się upał, pożarem wsi podsycany. Czuć było, że wten dzień szósty padnie rozstrzygnięcie.

Trzeszczały gonty i krokwie na dachach. Pod oknem kwatery Komendanta czerniały leje wyrw po granatach.

Stasiek z kąta w kąt błędził. Znaleźć miejsca nie mógł, by usiąść lub na sen się ułożyć. Godziny upływały od rana, jak wieki. Męka wewnętrzna zwolna spalała duszę piekielnym żarem. I nic nie znachodziły oczy, coby na chwilę najkrótszą zajęło myśl i dało odpoczynek. Wzrastało i szaleństwem już głowę smagało bezsenne, spiekle, krwią i znojem cuchnące oragnienie snu.

Wtedy, jakby na głos konającej w męce i tonącej w szaleństwie duszy, na progu roztrzęsionej chałupy stanął Komendant. Krokiem spokojnym przeszedł izbę i, o futrynę okna na łokciu wsparty, patrzył z pod brwi nasuniętych w pole, ku samotnym wiatrakom, kędy w kłębach ognia i dymu, w kurzawie obłoków, falami otowiu i żelaza przewalał się huragan boju artyleryjskiego. Sępiemj oczami rozwiązywał zagadkę, zawisając nad ciemną linią okopów strzeleckich, co niedaleko, pod horyzontem, wzgó-

rzem biegła pologim. Fala ognia na szczęście górą nad nimi przepływała, uderzając w wieś i na tyły, by zmniejszyć i zdemoralizować rezerwy.

Staśka cała dusza, jak motyl twardą dłonią ziemię, zawisała na spokojnych, chmurą zadumy przesłoniętych oczach wodza. Gdyby nie tam i nie wtedy, szczerym chłopięcym skokiem przypadłby i jak ojcu dłoń ucałował.

Po chwili jednak huk wrzawy, lecących pocisków skwir i spaleniźny śwąd przedarł się ostrym grzebieniem do świadomości. Z grozy, nad krawędzią obłędu oczy mu omal nie pękły w orbitach. Dech zamarł w piersi. Stał, czując, że niedługo straci świadomość. Przez spazmatycznie ściśniętą krtań przelatywał krzyk porwanych na strzepy, okropnych słów.

— Ależ — to szaleństwo — Komendancie!

W tej chwili dom się cały zatrzęsł. Dyle zajęczały. Tynk maczną kurzawą i grudami runął na stół i posadzke.

Gdy Komendant odwrócił się, Stasiek oprzytomniał. Z rezygnacją i odwagą wścieklejszą, niż w onegdajszym ataku, wyprostowany mówił.

— Obywatelu Komendancie! Wam nie wolno tak się narażać. To szaleństwo! Wy, obywatelu —

Wyrazy porwały mu się na zgłoski i dźwięki bez znaczenia. Jakaś się począł, jak w sztabie przed trzema miesiącami, z tropu zbity i w ponosach, co gorączką twarz oblały.

Komendant z uśmiechem dłoń mu na ramieniu położył.

— Dlaczego, chłopcze?

Już usta otwierał. Tyle wystarczających, silnych dojrzał argumentów. Ale ani jednego słowa nie mógł wykszusić. Uśmiech spokojny Komendanta zwichrzył w nim jasność całą i onieśmielił. Poczut zarazem, jak piekielny ciężar na piersi i pod czaszką topnieje zwolna i opada.

Piłsudski odmierzoną twardym krokiem chodził po przekątni izby. Za oknem na zachodnią część wsi w równo odmierzonych odstępach spadały co jakiś ściśle określony czas cztery ciężkie pociski. Szybowały błękitem zwolna i ciężko, z przytłumionym, z każdą sekundą wzrastającym sykiem. Przed wsią, na szczycie trajektorji ucichał świst i po chwili śmiertelnej ciszy — choć zamieć lżejszych smagała, jak przedtem, las i wieś — granaty, jak cyklopowe obuchy, uderzyły. Jęk jeno ciosów i potworne słupy czarnej kurzawy

bezgłośnie skłębiały się pod niebem. Od zachodniego krańca powoli zbliżały się kwadraty celnie wymierzonych i spokojnie zadawanych uderzeń. Co czwarte czy piąte zabudowanie po każdej salwie stawało w płomieniach. Połowę wsi zżerał pożar, falami ognia i kłębamj dymu przelewający się wzdłuż drogi.

Stasiek patrzył, zasluchany w przeciągły świst i szum lecących nowych czterech pocisków. Zbiałałymi wargami zdążył wyszeptać: jeszcze nie ten... — gdy dom się zakołysał, a ściany w wiązaniach zatrzeszczały. Odłamki z jękiem złowróżbnym tuż obok przeleciały. Wychylił się przez okno. Sąsiednia stodoła stała w płomieniach. Następna salwa gruchnęła już w sad i zabudowanie po drugiej stronie kwatery.

Stasiek zaniósł się śmiechem.

— Wygrana!

Pozostali w luce, w środku śmiertelnego kwadratu i ocaleli.

Pod wieczór otrzymał rozkaz dla uzupełniającego bataljonu, który trwał pod stodołami w rezerwie. Miał się powoli ze wsi wycofywać.

Odchodził z rozkazem i ślaniając się śród płonących chat, wpatrywał się oślepyłymi oczami w dwie myśli.

— Choćby się dusza, jak robak w ogniu na węgiel spalała w męce nie ludzkiej, choćby płomień już pełgał po żyłach i krew obłędem zarażał — na stanowisku masz trwać i obowiązek żołnierski pełnić do ostatniego rozkazu.

Nauka po ojców kurhanach zarzebaną żywym kwiatem wykwitła w piersi — w sześciodniowym boju, pod łagodnym uśmiechem Komendanta. Odżyły, rosą krwi serdecznej i żarem męki powolnego konania przepalone słowa, po kilkakroć w regulaminie czytane.

I w drugą myśl wpatrzył się oślepyłymi oczami.

— Odwrót!...

Ślaniając się, miósł rozkaz.

K O N I E C .

Prawa przedruku zastrzeżone.



Zabytki przyrody.

Piętyzm dla fauny i flory polskiej jest rzeczą, z którą należy się poważnie liczyć. Piękno dawnej Polski, pełnej łąk i puszcz, zmieniło się dziś do niepoznania. Gdzie są owe słynne lasy Mazowieckie? Krajobraz polski w dziewiętnastym stuleciu przeszedł przez całą gamę przekształceń. Ale nietylko krajobraz. Ciąną całe gatunki roślin, przychodzą nowe.

A jednak należy zachować pewną ciągłość kulturalną, zabezpieczyć przyrodzoną jakość naszego krajobrazu i przechować naturalny drzewostan. W krajach ościennych kwestji tej poświęcono już wiele praktycznych urządzeń. W Niemczech, Stanach Zjednoczonych znajdują się już specjalne urzędy, zajmujące się tą sprawą.

Ruch ten został w Niemczech obudowany przez H. Conzena; rezultatem jego pracy było urzędzenie w Prusach w r. 1906 prawnopaiństwowej organizacji p. t. „Urząd państwowy ochrony osobliwości przyrody“.

Ciekawe jest, że już w 1869 Sejm galicyjski uchronił ustawą sejmową koźlice i świstaki w Tatrach. Była to pierwsza tego rodzaju ustawa rządowa w Europie.

Zapewne że Państwo Polskie zajmie się też sprawą zabytków przyrody. P. J. Kołodziejczyk z racji tej w ciekawej swej publikacji „Zabytki przyrody“ pisze: „Jakkżaden może naród, kochamy swą przeszłość dziejową — mamy więc na to pozwolić, by w oczach naszych ginęły resztki krajobrazowe, świadki niejednego momentu naszej przeszłości. Jeżeli dziś tej sprawy nie załatwimy — to przyszłym pokoleniom zostawimy tylko barwne literackie opisy i tę tęsknotę, która nas ogarnia po stracie czegoś drogiego“ (str. 21).

I dlatego twierdzi p. Kołodziejczyk, że „prócz okazów przyrodniczych pojedynczych należy zachować całe krajobrazy, w postaci pasków natury, podobnie, jak to mają w Ameryce i prawie wszędzie państwa Europy. Każdy charakterystyczny krajobraz w Polsce winien być zachowany“.

Sądymy, że jest to sprawa dużej doniosłości kulturalnej. Zainteresować ona winna jaknajszersze warstwy obywateli.

Z książki tej dowiadujemy się też, że pierwsze kasztany zaprowadziła w Polsce Bona; topola związane są z nazwiskiem Sobieskiego. Wogóle książka ta jest pod każdym względem cenną. Oprócz informacji daje cały szereg racjonalnych spostrzeżeń i budzi troskę o przyszłość naszej fauny i flory.

Musztra.

Musztra jednostki i zastępu znalazła w podręczniku p. Ignacego Wądołowskiego dobre opracowanie, specjalnie przeznaczone dla harcerzy. Książka ta jest wydaniem urzędowym związku harcerstwa polskiego.

T. Kościuszko, jego odezwy i raporta.

Ludwik Nabelak zebrał i wydał w Paryżu w r. 1870 odezwy i raporta Tadeusza Kościuszki, Naczelnika Powstania 1794 roku. Obecnie wydawnictwo to zostało uzupełnione celniejszymi aktami, odnoszącymi się do insurekcji, i zjawilo się na półkach księgarskich, jako edycja centralnego Biura prasowego N. K. N. Wstęp pióra L. Nabelaka jest przygotowaniem historycznym do zrozumienia odezwy i raportów Naczelnika. Wydawnictwo to powinno być powitane z uznaniem. Szeroki ogół polski może w ten sposób bezpośrednio zapoznać się z zarządzeniami Naczelnika. Odczyta w tych starych aktach niejedyn dokument polskiego idealizmu i charakteru. Rozwinie przed sobą w chronologicznym porządku koleje insurekcji i będzie mógł wydstać z tego materiału sąd własny.

Tego rodzaju pogładowa lekcja historii jest rzeczą nadzwyczaj cenną i pouczającą. Bezpośrednio bowiem przemawia do wyobraźni, rozumu i serca.

Generał Ignacy Prądzyński.

Ciekawą, popularną broszurę napisał p. Aleksander Woltersdorf o generale Ignacym Prądzyńskim i jego działalności wojskowej w r. 1831. Publikacja ta popularyzuje genialne plany strategiczne Prądzyńskiego. Uważano go za intrygantą. Dopiero niedawno zyskał sobie wśród historyków poważanie i szacunek. Plany jego są przedmiotem rozważań nawet w pruskiej akademii wojskowej. Chłopicki nie miał czasu na rozpatrywanie tych właśnie planów Prądzyńskiego. Skrzynekki był tak znów ograniczony, że nic ich nie rozumiał. Powstanie skapiłało. W pamięci potomnych pozostaje jednak nazwisko Prądzyńskiego, jako jasny promień wśród wszystkich niedoświetlonych, intryg tegożczesnych.

Dzieci.

Bolesław Prus patrzył na rewolucję, grasującą w Polsce 1905 roku, jako na objaw gorszący. Bolał i smucił się, gdy dowiadywał się o różnych aktach terroru. Nie odczuwał zupełnie duszy rewolucjonisty polskiego, choć sam umiał w 1863 roku wyciągnąć do lasu. Uważał tę rewolucję za dzieciństwo, przez ten też pryzmat spozirzał w nurt obyczajowości tego czasu. W powieści swojej uwydatnił te irracjonalne motywy. W każdym razie jednak utrwalił cały szereg ciekawych i charakterystycznych rysów psychologii zbiorowości polskiej.

Powieść ta zjawila się w drugiej edycji. Wydawnictwo to niezadługo też będzie wyczerpane, gdyż pióro Prusa zdobyło sobie w panteonie piśmiennictwa narodowego godne i dobrze zasłużone miejsce.

Zbiór materiałów do Historji Powstania Styczniowego.

P. August Kręcki, inwalida wojenny powstania styczniowego, zbiera skrupnie wszelkie dokumenty, dotyczące tego ruchu zbrojnego. Obecnie wydał już trzeci zeszyt. W zeszytacie bieżącym znajdujemy znów materiał nieopracowany, ciekawy, który dla przyszłości może mieć dużą wartość.

Pamiętnik Fizjograficzny.

Zjawil się dwudziesty czwarty tom „Pamiętnika Fizjograficznego“, którego redaktorem jest p. K. Stołyhwo. W tomie tym z dziedziny meteorologii znajdujemy pracę Wł. Gorczyńskiego p. t. „O ciśnieniu powietrza w Polsce i w Europie“ (z 54 mapami!). W dziale geograficznym p. Józef Witkowski podaje materiały do hypsometrii kraju: wzniesienia nad poziom morza i spadki rzek i wód Litwy, Białorusi, Wołynia, Podola, Ukrainy i Kurlandji, oraz wzniesienia nad poziom morza stacji kolejowych w Królestwie Polskim, na Litwie, Białorusi, Wołyniu, Ukrainie, Podolu i w Kurlandji.

W dziale zoologicznym „Owady krajowe kózkowate“ opracował p. L. Fr. Hildt oraz p. J. Prüffer dał „Przyczynki do fauny lusko-skrzydlnych okolic Zwierzynca lubelskiego“.

Botanikę reprezentuje „Sprawozdanie z poszukiwań florystycznych w Łysogórach w r. 1909“, przez p. Antoniego Józefa Żmudę.

Archeologii dotyczą prace p. Z. Lenartowicza i prof. L. Krzywickiego. P. Lenartowicz daje „Inwentarz przedmiotów pochodzących z grobów przedhistorycznych we wsli Złotej“, a prof. Krzywicki wyczerpująco przedstawia „Grodzisko na górze Osiskowej pod Rakiszkami“.

Jak widzimy, nowy ten zeszyt „Pamiętnika Fizjograficznego“ zaleca się doborem bardzo interesujących prac. Trzeba przytem dodać, że w „Miscellaneous“ p. K. Stołyhwo zamieścił artykuły z „Muzeum Antropologicznego w Warszawie“ oraz sprawozdanie ze stanu gabinetu Archeologicznego Uniwersytetu Warszawskiego w r. 1915. Prof. Janusz Domaniński napisał „Kilka słów o organizacji Muzeum Zoologicznego przy muzeum narodowym w Warszawie“ oraz „Sprawozdanie z działalności Komisji Fizjograficznej Polskiego Tow. Krajoznawczego za rok 1916“. P. Józef Trzebiński da „Sprawozdanie z działalności sekcji o chrony roślin w Warszawie za r. 1916“.

„Pamiętnik Fizjograficzny“ wychodzi jak wiadomo, z zapomogi Kasy im. Miłnowskiego.

